Nr. 275. Lwów — Wtorek dnia 1 Grudnia. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 2 k 20 h, w Niemczech „ 3 „ —, w innych Państwach „ 4 „ —. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible]
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 10 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: 1 | św. Eligiusza B. | Platona
Jutro: 2 | św. Bibianny P. | Abdyasza
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 46.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o godz. 7 m. 35. Zachód „ „ 4 m. 2
Długość dnia godzin 8 minut 27. Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Odgrzewane baśnie.

We wrześniu r. b., kiedy szowinistyczny rozgardyasz doszedł na Węgrzech do najwyższego stopnia, a pamiętny rozkaz dzienny do armii, wydany w Chłopach, sprawił piorunujące wrażenie, i kiedy cesarz Wilhelm w towarzystwie jednego arcyksięcia i wielu madyarskich magnatów bawił na łowach w południowych Węgrzech, rozeszła się nagle pogłoska, że [illegible] syn tego cesarza, ks. Eitel Fryderyk, chcąc nauczyć się po węgiersku, zaprosił na nauczyciela jakiegoś profesora gimnazyalnego z Pesztu, ale minister oświaty, na życzenie sfer wiedeńskich, odmówił temu profesorowi urlopu, tak że drugi syn cesarza niemieckiego nie będzie mógł się przypochlebić węgierskiej próżności. Do tej pogłoski dodano wówczas wyjaśnienie, że ks. Eitel Fryderyk niby przeciw temu nie miał, gdyby fortuna podała mu [illegible] koronę węgierską. Ta niedorzeczna plotka, dziwaczna w całości i szczegółach, zapewne sprawiła niejaką przykrość cesarzowi Wilhelmowi, skoro, uchylając się od przyjętego zwyczaju, wyrzekł na [illegible] z Węgier kilka słów o wspólnej armii austro-węgierskiej. Tymczasem jednak śmieszna pogłoska poleciała na zachód; wyśmiano ją w Anglii, ale w paryskiej prasie znalazła ona na parę tygodni gościnny przytułek. Tam więcej niż o prawdę, dbają o taką strawę „sensacyjną", więc też przypomniano sobie dyletanckie wywody niejakiego Charadame'a o rozpadaniu się Austryi, o tem, że Niemcy sposobem pokojowym zdobywają Turcyę i o tem, że [illegible] Hohenzollerna, a z tych przesłanek prosty już był wniosek, że właściwie pruska dynastya musi nawet wciągnąć Węgry w koło swych interesów. Pogadano [illegible] „sensacyę".

Po dwóch miesiącach, a więc teraz, baśń o księciu Eitlu Fryderyku i jego zabiegach o węgierską koronę znowu się pojawiła, lecz tym razem już w amerykańskich dziennikach i w innej, poprawnej edycyi. Korespondenci z Berlina do pism nowo-yorskich donieśli, że na dworze berlińskim przypomniano i wzięto pod rozwagę dawne Hohenzollernów zamiary względem Węgier. „Najświeższą" o tem wiadomością popisał się berliński korespondent *New-York Herald*. Podał on, że książę Eitel nietylko marzy, ale już działa. Mianowicie pojechał niby na łowy do zamku Blyenbeck w Holandyi i w tej posiadłości byłego Jezuity, a teraz lutra hr. Hoensbroecha odbędzie narady z wybitnemi [illegible] stronnictwa kossuthowskiego. Najgorsze są fałsze, zbudowane z materyału, jakiego przypadkowo dostarczają wiadomości. Istotnie zdarzyło się, że ks. Eitel przybył na zamek Blyenbeck, a zatem — rzecz prosta! — korespondent *New York Heralda* dobrze wiedział, co się tam działo. [illegible] amerykańskie, a także francuskie, włoskie i belgijskie dzienniki. Wolno im nie wiedzieć szczegółów podrzędnych, lecz w tym wypadku ważnego. Oto zameczek Blyenbeck należy nie do hr. Pawła Hoensbroecha, który [illegible], ale do brata jego Wilhelma, katolika nader gorliwego, który właśnie w owym zameczku dał gościnność wydalonym z Niemiec OO. Jezuitom. Jeżeli więc pobyt ks. Eitla w tym zameczku jest ciekawy, to tylko z tego powodu, że tam będzie się znajdował w towarzystwie wygnańców z Niemiec [illegible]. Bajka prasy amerykańskiej rozgniewała sfery berlińskie, pojawiło się więc w tamtejszych dziennikach [illegible]. Ponieważ zaś od owego czasu [illegible], jak urzędowo zadano kłam równie głupiej, jak nikczemnej pogłosce o planach księcia Eitla Fryderyka na węgierską koronę, przeto berliński korespondent *New-York Heralda* uznał za możliwe odświeżyć tę starą kaczkę, aby przez to wywołać usposobienie niekorzystne dla Niemiec. Pomijając inne jego paplaniny o działaniach księcia, prawi on, że właśnie wysłano z Berlina na Węgry mnóstwo portretów księcia i że one są tam rozchwytywane, a że książę tymczasem pilnie uczy się języka węgierskiego. W całej jego paplaninie nie ma ani słowa prawdy. Wiedzą o tem poważni politycy, ale ów kłamliwy korespondent widocznie spekuluje na czytelników zgoła niepoważnych i dla nich przyrządza odpowiednie potrawy. Niech się jednak zastanowi, czy taka fabrykacya łgarstw pozwoli mu długo korzystać z gościnności niemieckiej."

Mniejsza o to, czy ten korespondent będzie wydalony z Niemiec, czy nie będzie. Ciekawsze jest pytanie, dlaczego bajka o zamiarach Hohenzollernów względem Węgier znajduje gdzie niegdzie wiarę. Otóż trzeba przyznać, że tu mści się na nich przeszłość. Już w wieku XVII, za cesarza Leopolda I, wielki elektor wchodził w tajne układy z węgierskimi kalwinami; później Fryderyk zwany wielkim wysłał w r. 1744ym jakiegoś Greka do Carogrodu, aby tam przy pomocy posłów Francyi i Szwecyi przekonał sułtana o konieczności oderwania Węgier od Austryi. Układy już się nawiązały. Fryderyk oddawał sułtanowi Siedmiogród i okolice serbskie nad Dunajem, a sobie brał resztę Węgier i Szląsk, ale dowiedział się o tych konszachtach poseł wenecki, dał o nich znać doży, ten zaś zawiadomił inne dwory, z których petersburski natychmiast zaprotestował, co miało ten skutek, że Fryderyk wszystkiego się wyparł, nazwawszy doniesienie doży „śmieszną bajką arabską". Nie przeszkodziło mu to jednak snuć intrygi na Węgrzech. W r. 1756ym polecił swemu posłowi w Wiedniu, niejakiemu Plotho, zawiadomić węgierskich protestantów, że ponieważ oni „gonieni są rzucić się w jego ramiona, przeto z bożą pomocą jeszcze w tym roku przybędzie do nich z wojskami". Nie w tym jednak roku, ale w 1758ym Fryderyk już stał na Morawach i wtedy wygadał się przed posłem angielskim, że przygotował manifest do narodu węgierskiego. Pod koniec wojny siedmioletniej znowu się układał z Turkami o rozbiór Węgier, a te układy były prowadzone w Jassach. Bratanek jego, Fryderyk Wilhelm II znowu zaczął konszachty z Węgrami, kiedy oni byli nadzwyczajnie rozżaleni na Józefa II. I tym razem — a było to w 1788ym — dwór berliński proponował sułtanowi rozbiór Węgier, jednocześnie zaś Fryderyk Wilhelm II w listach do swych posłów udowadniał swe prawa do korony węgierskiej, jako potomek Andegawenów. W r. 1790ym węgierscy protestanci wysłali do Berlina poselstwo z prośbą, aby Prusy dały im króla i nie wiadomo, jakby się skończyła ta afera, gdyby Józef II nie umarł, a następca jego Leopold II nie pośpieszył pogodzić Węgrów z Austryą. Wreszcie znane są matactwa Bismarka, a że w końcu cesarz Wilhelm II nieraz okazywał Węgrom wyjątkową życzliwość, przeto ostatecznie jest tu niby historyczna podstawa dla arabskiej bajki o zamiarach księcia Eitla Fryderyka. Tylko że historyczna podstawa nic tu już nie znaczy. Dziś Węgry tak samo się obawiają pangermanizmu, jak panslawizmu.

Zdanie Niemca o procesie Kwileckich.

Pod tytułem: *Der antipolnische Prozess*, ogłasza *Zeit* artykuł bawiącego chwilowo w Wiedniu posła do parlamentu niemieckiego, p. Gerlacha. Artykuł p. Gerlacha opiewa:

„Kiedy hrabina Kwilecka i jej mniej zażarcie [illegible] współoskarżeni opuścili po uwolnieniu pałac sprawiedliwości, publiczność nader burzliwie ich aklamowała. Lud ratyfikował wyrok sądu ludowego. Polska klerykalna hrabina, [illegible] rząd niewolniczo uległą [illegible], typowa reprezentantka *polnische Wirthschaft* — otoczona demonstrującą na jej cześć ludnością, złożoną z antypolskich, antyklerykalnych i antyfeudalnych mas berlińskich! Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem Berlińczycy wybrali sobie bohatera tak bardzo sprzecznego z całem ich czuciem. Potęga poczucia prawa przełamała granice antypatyi. Siła protestu tłomaczy się tem, że ma się uczucie, iż istniał zamiar wprowadzenia tendencyi na polu, gdzie najmniej może być tolerowaną: na polu sądownictwa.

„Trzy wielkie państwa, które mają polskich poddanych, prowadziły politykę polską bardzo rozmaitą. Rosyanie konsekwentnie Polaków maltretowali, Austryacy konsekwentnie (?) ich rozpieszczali, Prusacy traktowali ich to źle, to dobrze. Bynajmniej nie traktowali ich dobrze, kiedy byli grzecznymi, a źle, kiedy zachowywali się niesfornie; metoda obchodzenia się z nimi zależną była jedynie od opinii chwilowo rozstrzygających kierowników państwa. Jeśli ci byli zwolennikami polityki głaskania, działo się Polakom dobrze, jeśli przysięgali na wszechmoc bicza, Polacy służyli im za objekt do eksperymentów. Jak się zdarzyło!

„Po ciężkich kajdanach Bismarka przyszły różane łańcuszki Capriviego. „Nowy kurs" przyrzekał Polakom pełne równouprawnienie. Rozdarte nici, łączące pruski dwór z polską szlachtą, które jako tako nawiązywała jeszcze tylko rodzina Radziwiłłów, równie hohenzollernska, jak polska, na nowo zostały spojone. P. Kościelski ze swą piękną i roztropną małżonką, z domu Blochówną, wnet wciągnięty został do najściślejszego grona, otaczającego cesarza. Polityczne skutki wystąpiły na jaw niemal w oka mgnieniu. Twardzi opozycyoniści z polskiej frakcyi zmienili się w miękki wosk w ręku pruskiego rządu. Oni, którzy dotąd tworzyli lewe skrzydło centrum, nagle w uległości w obec spraw wojskowych pozostawili centrum daleko w tyle i stali się bezpieczną frakcyą w rządowej większości. To też p. Kościelskiego nazywano już tylko panem Admiralskim. Ale zwolna ruszyła się i opozycya, a przeciw partyi dworskiej wystąpiła partya ludowa. Naród polski ujrzał się nagle rozdzielonym na dwa stronnictwa, wzajemnie się oskarżające. W rzeczywistości nie uczyniono Polakom prawie żadnych ustępstw, tylko, że traktowano ich tak samo, jak innych pruskich obywateli. To już wystarczyło, ażeby rozdwoić polskie szeregi, a naturalnie także i u Polaków istniejące sprzeczne interesa rozdmuchać do najskrajniejszego antagonizmu. *Divide et impera.*

„Nagle polityka polska się zmieniła. Bismarkowski bicz wszedł znów w swoje prawa. Chytry Miquel, który zawsze wiedział, skąd wiatr wieje, stał się filarem antypolskiej polityki. Pp. Kościelscy znikli z berlińskiego dworu. „Ostmarkenverein", protegowany początkowo tylko przez dąsającego się na wygnaniu Bismarka, zaszczycony został urzędową łaską. Setki a setki milionów marek dla komisyi kolonizacyjnej żądano i uchwalono. W szkołach forsowano wprowadzenie nauki religii w języku niemieckim. Przeciwko gimnazyalistom, którzy po kryjomu upajali się bohaterskimi czynami przodków, wdrożono procesa o tajne związki. Posada polskiego redaktora stała się wnet bardziej jeszcze ciernistą jak posada dziennikarza socyalistycznego. Wszelkimi sposobami popychano urzędników niemieckich do walki przeciw Polakom. Przeciw imionom polskim osób i miast, przeciw polskim napisom i pieśniom, jednem słowem, przeciwko każdemu publicznemu używaniu języka polskiego, rozpoczęto walkę na noże.

„Skąd wziął się ten zwrot? Żaden wewnętrzny powód za nim nie przemawiał. Owoce polityki pojednawczej, acz krótkiej, były nader obfite. Polacy stanęli do walki przeciw Polakom. To skończyło się, skoro zmienił się kierunek. P. Kościelski nie trudnił się już zbieraniem dla rządu brakujących dla przedłożeń wojskowych głosów; udał się natomiast do Galicyi dla wygłaszania mów wszechpolskich, a jego pałace w Poznańskiem stały się punktem centralnym dla polskich robót organizacyjnych i agitacyjnych. Polacy stali się znów zwartą masą, zjednoczoną zasadniczą walką przeciw germanizmowi, a różną wewnątrz tylko co do stopnia radykalizmu. Ostatnie wybory do sejmu rzeszy niemieckiej wycisnęły pieczęć na bankructwie najnowszej antypolskiej polityki. Głosy polskie wzrosły z 100.000 na 400.000, ruch polski po raz pierwszy zdobył zwycięstwo na Górnym Śląsku, reprezentanci najradykalniejszego kierunku święcili największe tryumfy. Czy nie były to może powody zewnętrzne, lub zgoła powody natury osobistej, które sprowadziły tę zmianę? W obiegu są pogłoski natury bardzo awanturniczej, ale niewolno wypowiedzieć, czego nie można udowodnić. Jednak jest pewnem: od szeregu lat w miarodajnem miejscu (*an massgebender Stelle*) w Prusiech objawia się wola ku zwalczaniu polskości z ostrością bezprzykładną, na gruncie niemieckim. Dowodem tego postępowanie rządu, dowodem publiczne mowy cesarza: kiedy jego prywatne enuncyacye mają o wiele jeszcze być ostrzejsze. O nich jednakże nie wolno mówić. Ale dowodem przedewszystkiem jest także proces Kwileckich.

„Kto dokładnie śledził bieg procesu, nie może dość nadziwić się sposobowi prowadzenia śledztwa, a bardziej jeszcze dziwi się temu, że odważono się na podstawie tak marnego materyału dopuścić do rozprawy głównej. Najbardziej jednak dziwnym jest sposób, w jaki przez kilka tygodni tę rozprawę prowadzono. Trudno było pozbyć się uczucia, że obok urzędowego oskarżyciela, obok prokuratora, istniał jeszcze szereg oskarżycieli półurzędowych, pomiędzy tymi zaś ludzie, którzy z mocy zajmowanego stanowiska najbardziej byli do neutralności zobowiązani. Ale skoro nawet lekarze-rzeczoznawcy nakłonić się dają do tego, by z przekroczeniem swej kompetencyi stać się pomocnikami prokuratora, a przewodniczący to toleruje — ten sam przewodniczący, który bez namysłu gani prałata X. Jaździewskiego za wypowiedzenie własnej opinii — to rzecz staje się naprawdę cokolwiek podejrzaną. A dopiero zaś zachowanie się prokuratoryi! Rzadko jeszcze jakaś władza tak się skompromitowała, jak prokuratorya w sprawie Kwileckich. Żaden nie pruski prawnik nie zrozumie, jak prawnik mógł w tym wypadku przemawiać za winą oskarżonych. W najostrzejszy spsób zaprotestować musi opinia publiczna przeciw temu, że nietylko wnoszono uznanie oskarżonych winnymi, ale nawet wywierano na przysięgłych presyę moralną. A gdyby taki prokurator tłómaczyć się chciał tem, że wykonywał tylko rozkaz przełożonych, to jednak trafia go zarzut, że dał się nadużyć do czegoś, do czego nie zobowiązuje go nawet największa zależność. Co prawda, o wiele większy zarzut trafia owo „wyższe miejsce", które ponosi za jego wywody odpowiedzialność. Z wywodów prokuratora Müllera słychać było, że stara się za każdą cenę o wyrok potępiający. Nie szło już o to, czy dziecko zostało podsunięte lub nie, ale o to, czy ma się wyrokiem sądowym napiętnować *polnische Wirtschaft*, lub nie. Polskość otrzymać miała „cios w samo serce". Jak w Zoli *La verité* walka o winę lub niewinność nauczyciela Simona przedstawia rodzaj walki, rozstrzygającej pomiędzy szkołą świecką a duchowną, tak tu cała polskość w swej rzekomej korupcyi miała w osobie hrabiny Kwileckiej być ugodzoną.

Taką co najmniej jest opinia publiczności; dlatego to hrabinę Kwilecką przed pałacem sprawiedliwości witano oklaskami".

Z sejmu węgierskiego.

Budapeszt 30 listopada. W dalszym ciągu sobotniego posiedzenia opozycya prowadziła dalej techniczną obstrukcyę ze wszystkiemi znanemi sztuczkami. Po głosowaniu nad zmianą protokołu wygłosił poseł Lengyel długą mowę o regulaminie. P. Kubik wręczył prezydyum Izby drugie pismo z prośbą o 5 minutową przerwę. Na życzenie opozycyi odczytano to pismo. Posłowie opozycyjni, dla przewleczenia obrad, uskarżają się, że sekretarze za prędko czytają nazwiska, inni znów posłowie z opozycyi zarzucają, że czytają niedość płynnie, co wywołuje wśród opozycyi wesołość. Przy każdem głosowaniu, pomimo, że większość sześć razy jest liczniejsza od mniejszości, żąda opozycya zliczenia głosów.

Po pięciokrotnem głosowaniu nad poprawkami przyjęto wreszcie protokół z poprzedniego posiedzenia. Polonyi wygłosił długą mowę przeciw Perczelowi z powodu rzekomego naruszenia przezeń regulaminu i oświadczył, że Perczel nie jest godnym zajmować dalej stanowisko prezydenta Izby.

Posłowie opozycyjni wołają pod adresem Perczela: „Pan jesteś ober-Kramarzem (przywódzca czeski w parlamencie austryackim). Pan jesteś Abrahamowiczem! Idź pan do Austryi"!

Hr. T i s z a oświadcza, że w *meritum* wywodów Polonyiego nie wdaje się, ponieważ występ Polonyiego przeciw Perczelowi i żądanie, by ustąpił, jest jedną ze sztuczek, które opozycya onegdaj zapowiedziała. Lecz prezydent ministrów spodziewa się, że „potrafi uwolnić kraj od podobnych żywiołów, które swem postępowaniem narażają go na zgubę i ruinę".

Słowa te wywołują wśród opozycyi długotrwałą wrzawę. Posłowie opozycyjni żądaja przywołania prezesa gabinetu do porządku. Tisza chce dalej mówić, lecz posłowie opozycyjni na hasło dane przez Polonyiego nie dopuszczają do tego, gwiżdżą, tupią nogami, walą kułakami w pulpity. Hałas nie do opisania.

Tisza stoi spokojnie na swojem miejscu. Przewodniczący przywołuje opozycyę do porządku i prosi o spokój, ale nadaremnie, wobec czego przerywa posiedzenie

Po krótkiej pauzie posiedzenie znowu otwarto. Przewodniczący oświadcza, że na podstawie protokołu stenograficznego przekonał się, iż wywody Tiszy nie zawierają żadnej obrazy i nie widzi powodu przywoływania go do porządku.

Tisza powtarza jeszcze raz te same słowa i dodaje, że nie są one obraźliwe dla tych, którzy tak nie postępują.

Dalej wywodzi Tisza, że zajścia, których widownią jest Izba, bardzo dotknęły go jako szczerego Węgra. Jeżeli nie będzie innego środka, jak żeby pokazać narodowi niebezpieczeństwo, na jakie go naraża postępowanie opozycyi, to będzie to wodą na młyn tych, którzy chcą się chwycić środków radykalniejszych.

Wrzawa opozycyi znów przerywa mowę, słychać złośliwą piosnkę na Tiszę.

Tisza kończy oświadczeniem, że opozycya dowiodła, że prowadzi nie rzeczową, lecz osobistą polemikę, skoro jawnie przyznała, iż jedynym celem jej jest usunięcie mówcy od rządu.

Prezes Izby P e r c z e l prosi o pozwolenie przemawiania z miejsca poselskiego, a otrzymawszy je, polemizuje z Polonyim, przedstawia historycznie zawarcie paktu z opozycyą i zaprzecza, jakoby ten pakt obowiązywał po wieczne czasy. Jeżeli Polonyi nietylko powołuje się na dosłowne brzmienie regulaminu, ale i na jego intencye, to Perczel przypomina, że regulamin zabrania np. prezydentowi przyjmowania deputacyi, a przecież były prezydent hr. Apponyi, którego opozycyjni posłowie ciągle jako wzór stawiają, przyjmował bona fide cały szereg deputacyi, a i Koloman Szell, jeden z twórców owego paktu, nie uważał odbywania dwóch posiedzeń dziennie za coś sprzecznego z paktem. W końcu oświadcza Perczel, że nie uczyni zadość Polonyiemu i nie ustąpi, mimo, iż niechętnie obejmował godność prezydenta, narażając zdrowie i własne interesy.

Po krótkiej replice Polonyiego i odpowiedzi Perczela zażądał głosu p. H o k (dziki). Prezydent nie chce mu udzielić głosu i powiada, że zapyta izbę o zdanie. Prawica nie zrozumiawszy o co chodzi, powstała z miejsc, przez co Hok otrzymał pozwolenie. Wygłosił on bardzo długą mowę przeciw Tiszy i Perczelowi. Cytował zdanie jednego z polityków, że Tiszowie są podobni do kominiarzy, którzy im wyżej pną się, tem są brudniejsi.

Następnie przemawiał były prezes gabinetu hr. K h u e n; oświadczył on, że przyszedł do przekonania, iż pokojowymi środkami nie zaprowadzi się porządku w parlamencie. Dlatego zdecydowany jest swym następcom we wszelkich ich konstytucyjnych zarządzeniach pomagać ze wszystkich sił.

Po ułożeniu porządku dziennego poniedziałkowego posiedzenia zamknięto o godz. 8 posiedzenie, które trwało $9\frac{1}{2}$ godzin.

Z Mandżuryi.

Pan Ursyn, znany polski publicysta, który przed kilku miesiącami wyjechał do Mandżuryi, opisuje w *Słowie Warszawskiem* jej stolicę Charbin. Oto jego słowa:

Wspaniały most żelazny, zawieszony nad

---

45)

Wielki książę Konstanty

Zarys biograficzny
przez
E. P. Karnowicza
Przekład z rosyjskiego.

(Dokończenie).

Powiedziałem, że doskonale pojmuję, iż Lubecki nie może jasno wypowiedzieć swych żądań (jakkolwiek były one po większej części zaznaczone w odezwie Rządu tymczasowego), oświadczywszy, że przybywa jako minister Waszej Cesarskiej Mości, pomimo papierów, jakie wiezie, i pomimo tego, co napisał lub powiedział W. Księciu; opowiedziałem przytem, jak Wasza Cesarska Mość kilkakrotnie przyparłeś go z tego powodu do muru.

Potem rozmowa przeniosła się jeszcze raz na ubiegłe wypadki. Księżna zadała mi pytanie, czy zgadzam się z postępowaniem W. Księcia podczas rokoszu i zażądała odemnie odpowiedzi po żołniersku szczerej; nie umiem nigdy ukrywać mych opinii w takich razach i powiedziałem otwarcie, że może popełniłbym błąd polityczny, ale jako żołnierz byłbym uderzył na rokoszan odrazu i mam nadzieję, że byłbym ruch zdusił u jego źródła. Jego Cesarska Wysokość wcale się nie obraził mą odpowiedzią, ale powtórzył swe zdanie, które wyżej przytoczyłem. Odrzekłem, że wygłosiłem mą opinię szczerze jako żołnierz, że ona może być błędną pod względem politycznym, że cel osłabienia nienawiści między obu narodami nie będzie osiągnięty.

W. Książę zatrzymał mię jeszcze przeszło dwie godziny po obiedzie, przyczem sama tylko księżna była obecna. Opowiedział mi mnóstwo szczegółów o wypadkach, szczegółów mało ważnych, by je tu powtarzać Waszej Cesarskiej Mości, jak np. o jego oddziale lub o postępowaniu wielu osób, o czem już pisano Waszej Cesarskiej Mości, o nadziejach, że gdyby można było znaleźć kilku ludzi pewnych i wysłać ich do wojska polskiego, które wyszło z Warszawy, z pewnością wiele pułków, wróciłoby do swoich obowiązków, gdyż nie będąc już pod wpływem tłumów rewolucyjnych, naczelnicy dobrze myślący posiadaliby większą władzę nad wojskiem. Odpowiedziałem, że spróbuję wszystkich środków, by mi się powiodło w tego rodzaju przedsięwzięciu, ale obawiam się, że trudno będzie znaleźć ludzi zaufania, którzyby się tego podjęli, a inni nic nie zrobią. Wręczyłem również W. Księciu proklamacye. Zachował je, by później odczytać. Wyślę je nie wcześniej niż za parę tygodni.

Ponieważ rozmowa przeszła na korpus Litewski, w krótkiej chwili, gdy księżna się oddaliła, powiedziałem W. Księciu, że zdaje mi się, iż niepodobna będzie oddzielić grenadyerów od korpusu, którego naturalną stanowią rezerwę, a jednocześnie zażądałem jego zgody na to, bym mógł wysyłać rozkazy bezpośrednio Rozenowi, przez co zyska na czasie. Rozkazy te będą komunikowane jednocześnie W. Księciu. W. Książę powtórzył mi, że jest to bardzo naturalnem i polega na mnie w zupełności. Jakkolwiek takie zaufanie pochlebia mi bardzo i jestem przejęty dobrocią, okazaną mi przez Jego Cesarską Wysokość, niemniej przeto położenie to uważam za bardzo drażliwe; nie mogę przecież pod żadnym względem radzić W. Księciu, by się przeniósł do korpusu Litewskiego. Jego Cesarska Wysokość dał dowód zupełnej abnegacyi z miłości własnej, pozostając na swem stanowisku, ale niepodobna, by taka zmiana była dlań przyjemną; sądzę, że będzie nawet przykrem dla niego opuścić w takich okolicznościach ukochaną i cierpiącą małżonkę, i że bolesnem dla niego będzie patrzeć na walkę z nami tych, których on wyćwiczył dla Twej, Najjaśniejszy Panie, służby. Śmiem dodać, Najjaśniejszy Panie, że sądząc po usposobieniu chwili, której daleki jestem, by robiono jakiekolwiek ustępstwa, nie należy drażnić niepotrzebnie, i wydaje mi się rzeczą niepożądaną i szkodliwą dla sprawy, by sam W. Książę wyruszył do walki przeciw poddanym zbuntowanym, chyba, że się znajdzie w miejscu, gdzie rokosz wybuchnie, gdyż wtedy wszystko zależy od natychmiastowego postanowienia i najpierwszy może dać piękny i szlachetny przykład, ale jeżeli to ma być działanie z góry obmyślane, to obecność Księcia Domu panującego podrażni jeszcze bardziej rokoszan, jak się to stało w Belgii, i nie otoczy go blaskiem chwały wojennej, gdyż będzie ona zaćmiona bolesnemi wspomnieniami.

Zdaje mi się więc, że życzenie W. Księcia, by się mógł w jakiemkolwiek miejscu zobaczyć z Waszą Cesarską Mością, jest usprawiedliwionem. Wasza Cesarska Mość znajdziesz tysiące sposobów zapobieżenia, by się nie znalazł w przykrej sytuacyi. Jeżeli jednak Wasza Cesarska Mość mniema, że należy W. Księcia pozostawić w jego obecnem położeniu, to byłoby koniecznem, aby W. Książę zachował dotychczasowy tytuł wodza naczelnego z prawem lub bez praw wojennych; w pierwszym razie byłoby to trudnem ze względu na jednolitość dowództwa, co jest warunkiem *sine qua non* powodzenia na wojnie; drugie zgoła iluzoryczne na wojnie zmniejszy szacunek i znaczenie, które przyzwyczajono się uważać za najpoważniejszy dowód zaufania Monarchy, znaczenie, które w Rosyi było zawsze źródłem powodzenia naszej broni, podczas gdy w innych krajach, a zwłaszcza w Austryi, system odwrotny sprowadził liczne klęski wojenne.

Być może, iż niepotrzebny będzie ukaz w tej kwestyi, ograniczając się na ogłoszeniu w rozkazie dziennym polecenia Waszej Cesarskiej Mości tej treści, jaką tu załączony projekt obejmuje.

W. Książę, wysyłając dzisiaj p. Opoczynina do Petersburga, nie dał mi żadnych rozkazów. Prawdopodobnie pisać on będzie szczegółowo w tych sprawach do Waszej Cesarskiej Mości.

Pozwól, Najjaśniejszy Panie, że w zakończeniu tego długiego listu, który uważałem sobie skreślić za obowiązek, ośmielam się przesłać Waszej Cesarskiej Mości, oraz Najjaśniejszej Pani moje życzenia szczere i wierne z powodu Nowego Roku, który jutro zaczynamy, jak również uczucia głębokiej wdzięczności i poświęcenia, z jakiem mam szczęście pozostać.

Twój, Najjaśniejszy Panie,
najpoddańszy i najwierniejszy sługa
G. Dybicz Zabałkański

Grodno, 31 Grudnia 1830 r.

KONIEC.

mętnemi wodami wielkiej rzeki. Zamiast wtoczyć się na most odrazu, pociąg zatrzymuje się chwilę. Za nami — wielka równina. A przed nami — wielki dopływ Amuru, popielato-brunatna Sungari. Przy wysokich wałach prawego brzegu kłęby dymu snują kominy statków parowych. Stoi rój łódek. Wyładowują się napełnione drzewem i cegłą wielkie „berliny“. Na piaszczystym brzegu, po bezładnych rusztowaniach, schodkach i mostkach kręcą się, jak mrowisko, niebiesko-granatowe postacie z długimi czarnymi warkoczami. A opodal widać zabudowania: mnóstwo czerwonych niemalowanych domów i domków i popielatych niemalowanych dachów blaszanych... To Charbin.

Właściwie to tylko pierwsza Charbinu dzielnica — najruchliwsza, najludniejsza, zwana Przystanią przy rzece Sungari. Trzeba później jechać jeszcze całą wiorstę, ażeby się dostać do Nowego Miasta, a stamtąd około pięciu wiorst rozległym stepem, iżby stanąć w Starym Charbinie.

Dworzec kolei jest w Nowem Mieście. To dzielnica administracyi. Tutaj, na Mandżurskim Prospekcie, na ulicy Bulwarowej, na Sungaryjskim Prospekcie i t. p. stoi kilka tysięcy większych i mniejszych domów z dachami chińskimi, ozdobionymi smokami i wężami... To wszystko domy rządowe, wybudowane przez kolej wschodnio-chińską na mieszkania dla urzędników i dla wojska. W niektórych większych domach mieszczą się biura i zarządy kolei. Po za tem wszędzie, gdzie rzucić okiem, piętrzą się rusztowania, wszędzie z pośpiechem wznoszą się nowe domostwa...

Oto do pierwszego piętra doprowadzona budowla domu-kolosa. W nim będzie rezydować niebawem cały zarząd kolei wschodnio-chińskiej, ze wszystkimi wydziałami. Oto gustowne dwa domy trzypiętrowe już na ukończeniu — tu się lada dzień pomieści Bank rosyjsko-chiński. A opodal imponują szeroko otworzone okna nowego kwadratowego budynku. Tu będzie wytworny kolejowy hotel z restauracyą. Wszędzie, gdzie się ruszyć, gdzie spojrzeć, coś się buduje, kopie, szosuje, brukuje... I wszystko to, tę całą gorączkową w Nowem Mieście pracę ponosi przeważnie sam zarząd kolei wschodnio-chińskiej. Ile tu setek tysięcy!...

Cichy, ustronny jest Stary Charbin. Przypomina miasteczka podolskie, choć od nich czyściejszy. Dawna to osada mandżurska, z prastarem, cienistem cmentarzyskiem, zamienionem dziś na ogród.

Gdy nad Sungari przybył przed sześciu laty naczelny inżynier budowy kolei wschodniej, p. Aleksander Jugowicz, serb z pochodzenia, wraz ze sztabem swoich współpracowników, to obrał był sobie Stary Charbin za siedzibę i jął go tymczasem zabudowywać. Bo tu tylko znalazł kilkadziesiąt „fanz“, czyli glinianych chińskich lepianek. Po za tem dookoła i do brzegów Sungari szedł — nagi step.

I dość było lat sześciu, ażeby ten pusty, samotny, kilkuwiorstowy w kwadracie kawał stepu nadsungaryjskiego wyrósł nagle w drgające życiem miasto! Historya zapisze niezawodnie ten fakt, iż w zaraniu XX wieku na stepach Mandżuryi, dalekiej i nieznanej, wyrósł raptownie — wielki gród. Tam, gdzie było bezludnie, wiek XX powitał znienacka — sto tysięcy ludności. Stanęła nowa stolica w krainie legendarnej i dziewiczej i nowa nad nią zawisła era kulturalnego rozwoju.

Głową nowoczesnego Charbinu jest administracyjne Nowe Miasto. Ale sercem — Przystań. Bo tu pulsuje życie. Tu na krętych uliczkach, wśród błota i pyłu, kipi, jak w garnku. Tu jest największa osada rosyjsko-chińska, gdzie Rosyanie i Chińczycy żyją wspólnem pragnieniem — zarobku i dobrobytu.

Przystań posiada kilkadziesiąt ulic i zaułków. Tu i owdzie, jak grzyby, wyrosły kamienice okazałe. A wszędzie sklepy, sklepy i sklepy. Obok wielkich i średnich stoją drobne, małe, malutkie, niby nory krecie... Na najruchliwszej ulicy Chińskiej tłum nie rzednie, taki ruch. A i przejechać trudno, bo powóz mknie za powozem, dorożka za dorożką... A tu jeszcze zakurzony, spocony Chińczyk plącze się wśród przechodniów i zaprzęgów i ciągnie wysoką dżinrykszę, w której siedzi i rozkoszuje się w różowej koszuli Rosyanin... Albo na ulicę wlecze się tępy policyant chiński w szerokiej kurtce ponsowej...

Dwukołowe ciężkie „arby“ wiozą budulec lub cegłę i głęboko zarywają się w gliniastą ziemię ulic... Wybujali jak topole, przepiękni Indyanie, spełniający tu obowiązki stróżów nocnych, w białych lub czerwonych czałmach na głowie, z nogami prawdziwych „szybkobiegów“, bo cienkich i jakby bez łydek, zbierają się w gromadki i stoją nieustraszeni... Pojazdy muszą ich wymijać, a oni sobie drwią, ukazując w uśmiechu zęby, błyszczące zęby...

Na kilkunastu ulicach chińskiego kwartału, na małych, niby z kart, fanzach, powiewają ostrokańciaste flagi żółte, kołyszą się od wiatru różnokolorowe latarnie papierowe, bujają chińskie szyldy — długie, wąskie paski czarne ze złoconymi hieroglifami... Przez małe szybki w kratki, pomarańczowe, żółte i zielone, zdobiące herbaciarnie, widać stoły z czerwonego drzewa, szerokie ławy bambusowe z poduszką i długie cybuchy fajek... Tu i owdzie z drzwi dochodzi zapach oleju bobowego z traktyerni chińskiej, pełnej much i swędu... Na wszystkie strony na chodnikach zwołują do siebie cyrulicy, do swoich specyalnych stolików czerwonych i ławeczek, żółtych, przenośnych, z brzytwą, grzebieniem i t. d. Bez żadnej ceremonii podgalają głowy i czeszą warkocze — na ulicy.

W fanzach pracują krawcy chińscy, z dużą zręcznością szyjący najwytworniejsze suknie damskie. W pobliżu na pół nagi szewc, stolarz lub tokarz, przy warsztacie. A nad przechodniami siedzi stary, suchy z siwiejącą kosą kuglarz i z uśmiechem gorzkim pokazuje sztuki nadzwyczajne — gromadzie ciekawych. Przez uchylone drzwi i okna sklepików widać zieleninę, czosnek, owoce, sadło, filiżanki, chanszyn, herbatę w barwnych puszkach... Tam znowu wiszą pantofle na grubych podeszwach, drelichowe kurtki niebieskie i ciepłe kurtki białe, bambusy, parasole i wachlarze... Po ścianach, gdzie tylko miejsce swobodne, wielkie pstrzą się plakaty z krwistego papieru... I wszystko to — razem, skupione, pomieszane, ogromnie kolorowe, ogromnie dziwne...

A wśród zgiełku hałasu i wśród tej ciasnoty tęczowej stoją — drewnianym ciemnym zasłonione płotem — tajemnicze domki bez okien... Co jakiś czas, lekko cwiknie w „kiry-mony“ patrokate, wychylają się z nich przez niskie drzwiczki — małe, drobne, śniade istoty, w przepysznie zaczesanej fryzurze czarnych włosów lśniących, uśmiechnięte i nęcące.

I w blaskach słońca dziennego, w sąsiedztwie gniotącej karki pogoni za chlebem, te małe i drobne, młode, a już zwiędłe „chryzantemy,“ te cywilizowane Japonki, rozpustnie po przez tłum spracowanych Chińczyków w rojną patrzące ulicę — dziwne czynią wrażenie...

Ale w Charbinie dzisiejszym, na Przystani — to jak na jarmarku! Handel wre, ludzie płyną, jako fale w morzu. Wszystko się kotłuje. Wszyscy się śpieszą, wszystkich myśl zajęta. Stukają zewsząd młoty, zawzięcie wapno leją kielnie. Wrzeszczą cienkim głosem żółci roznosiciele ryb, ogórków, pomidorów i papierosów...

A jednocześnie — zewsząd grzmi muzyka! Z knajpek i zajazdów już od rana dolatują tony arf i skrzypiec, z pod palców aż tu zabłąkanych jasnowłosych Czechów i Czeszek... Przed sklepami płaczą katarynki szwabskie... A w „ogródkach“ już o zmroku wiedeńskie walce fałszują orkiestry, zaś piosnki hulaszcze i sentymentalne śpiewają szansonistki...

Wieczorem, w ciemnym jak noc „ogrodzie letnim“, grywa operetka rosyjska. A na placu targowym, w ogromnym gmachu — komedyo-dramaty wokalno ekwilibrystyczne wystawia codziennie oryginalna trupa chińska...

I słucha, słucha tego wszystkiego step mandżurski, który jeszcze przed pięciu laty był dalekiem, dzikiem, tajemniczem pustkowiem...

Co i o czem piszą.

Fejletonista *Głosu Narodu* notuje z przechadzki po mieście następujące spostrzeżenia:

Czytam w kilku sklepach:

— Kalosze, prawdziwe rosyjskie.

W innych znowu:

— Kwiaty prawdziwe paryskie...

— Koronki brukselskie...

— Jedwabie lyońskie...

Myślę tedy — wszystko to obce, co prawda, i dużo naszego grosza pożre, ale cóż robić? Daleko do tego, abyśmy swoje wyroby z tego zakresu mieli.

Aż nagle staję zdziwiony. W sklepie kolonialnym czytam ogłoszenie:

— Kapusta kiszona morawska!

W innym znowu:

— Kapusta kiszona węgierska!

Więc ani w jednym sklepie polskiej, krakowskiej kapusty nie ma?... Więc nawet na to nas nie stać, abyśmy mieli swoją kapustę na sprzedaż? O!... mój panie kupcze! Jakbyś tak w Czechach ogłosił, wyrzuciliby kapustę ze sklepu w tej chwili, a u nas... kupują!

U nas — gdyby mogli, toby i sól prawdziwie angielską reklamowali, tylko niestety — mamy swoją — ale kapusta ustrojona z węgierska już lepsza. Możeby się obeszło bez niej.

Ale to zależy — od pań.

KRONIKA.

Lwów 30 listopada.

Wiceprezydent wyższego sądu krajowego, dr. Jan Dylewski wyjechał na wizytacyę sądu obwodowego w Stanisławowie.

Mianowanie. Naczelnik krakowskiej stacyi kolei państwowych, inspektor Feliks Piasecki został mianowany naczelnikiem oddziału ruchu dyrekcyi kolei w Stanisławowie w miejsce Karola Stelzera, powołanego do ministerstwa kolejowego.

Odrzucenie rekursu. Ruscy studenci uniwersytetu lwowskiego, których senat akademicki raz na zawsze z tego uniwersytetu wykluczył za udział w demonstracyi przeciw rektorowi X. Fijałkowi, wnieśli byli rekurs do ministerstwa oświaty. Rekurs ten ministerstwo odrzuciło i utrzymało orzeczenie senatu w mocy.

Ślub. Dnia 25 bm. odbył się w Sieteszy ślub panny Jadwigi Łastowieckiej, córki Zygmunta i Magdaleny z Wierzchowskich Łastawieckich, właścicieli dóbr Lipnik w powiecie łańcuckim, z p. Mikołajem Rydlem, synem śp. Romana i Sabiny z Marynowskich Rydlów, właścicielem dóbr Niziny-Rożniaty w powiecie mieleckim.

† **Józef Głębocki**, poseł do parlamentu niemieckiego i do sejmu pruskiego, zmarł nagle w Poznaniu, tknięty paraliżem serca. Był to niezwykle pracowity i rutynowany parlamentarzysta, mówca znakomity, budzący szacunek dla siebie nawet w stronnictwach niemieckich, które słuchały mów jego z uwagą, chociaż stanowczo, a nawet ostro występował w obronie praw ludności polskiej.

O ostatnich chwilach jego donoszą z Poznania: W piątek około godz. 5 po południu szedł śp. Głębocki ulicą Podgórną, gdy nagle przed składem optyka Żurawskiego padł rażony paraliżem. Przywołany natychmiast dr. Kapuściński, mieszkający naprzeciwko, zdołał już tylko śmierć skonstatować. Ponieważ było na ulicy ciemno, i zmarły twarz miał zalaną krwią, nie poznał go ani dr. Kapuściński, ani jego własny szwagier p. Jaraczewski, który przypadkiem tą samą ulicą przechodził, lecz obaj ci panowie razem poszli dalej, rozmawiając nawet o zmarłym pośle, nie przypuszczając na chwilę, aby właśnie nim mógł być zmarły nagle na ulicy człowiek. Tymczasem zwłoki śp. posła Głębockiego zawieziono dorożką do lazaretu miejskiego i tam dopiero na mocy znalezionych przy nim papierów skonstatowano jego nazwisko. Jeden z przywołanych braci zmarłego pobiegł do X. prałata Stychla, ale tenże przybywszy, już tylko mógł się pomodlić przy zwłokach swego kolegi parlamentarnego.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. We wtorek dnia 1 grudnia Dyr. arch. m. dr. A. Czołowski: „Wojny polsko szwedzkie“ (z obrazami świetl.) Kamienna 2. Początek o godzinie $7^1/_2$.

Jubileusz prof. Sokołowskiego. W auli *Collegium novum* w Krakowie odbył się wczoraj w południe jubileusz 30-letniej pracy naukowej dra Maryana Sokołowskiego, prof. historyi sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W obchodzie wzięli udział członkowie Akademii umiejętności z prezesem Stanisławem Tarnowskim na czele, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, delegaci Uniwersytetu lwowskiego prof. Wojciechowski i Antoniewicz, prezydent miasta Friedlein i wiceprezydent Leo, komendant korpusu Albori, delegat Fedorowicz, dyrekcya Tow. przyjaciół sztuk pięknych, profesorowie Akademii sztuk pięknych, Koło literackie, wydział Tow. Domu Matejki, artyści-malarze, dziennikarze, literaci, obywatelstwo i liczne grono pań.

Pierwszy przemówił po łacinie prof. dr. X. Stefan Pawlicki i wręczył jubilatowi bronzową plakietę, dzieło rzeźbiarza Antoniego Madeyskiego, przedstawiającą popiersie jubilata z piórem w ręku. Prof. dr. Antoni Górski odczytał adres od wielbicieli, przyjaciół, współpracowników i uczniów. Sekretarz komitetu Świeykowski odczytał pismo z życzeniami nadesłane w imieniu ministra oświaty, oraz długi szereg listów i depesz z kraju i z zagranicy, między innymi od prof. Adolfa Venturi z Rzymu.

Imieniem Uniwersytetu lwowskiego przemówił prof. dr. Jan Bołoz Antoniewicz, imieniem członków sekcyi historyi sztuki Akademii umiejętności i grona konserwatorów Galicyi zachodniej p. Leonard Lepszy, imieniem dawnych uczniów prof. dr. Stanisław Kopera, imieniem byłych uczenic panna Estreicherówna, imieniem uczniów Akademii sztuk pięknych, składających adres, p. Gardecki. Ostatni przemawiał rektor uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr. Krzymuski. Za wyrażone życzenia podziękował jubilat. Wieczorem odbyła się na jego cześć uczta, w której wzięło udział około 100 osób. Wygłoszono liczne toasty i odczytywano dalsze depesze i listy.

Z Krakowa donoszą: We wtorek odbędzie się tu otwarcie wykładów powszechnych uniwersyteckich, urządzonych przez profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszy wykład „O zadaniach oświaty narodowej“ wygłosi profesor dr. Józef Milewski.

Prof. Raoul Pictet, słynny uczony, jeden z pionierów badań na polu skraplania gazów i otrzymywania niezmiernie nizkich temperatur, przybył wczoraj do Krakowa w celach naukowych. Ma on mianowicie zamiar wykonać pewne doświadczenia w laboratoryum uniwersyteckiem profesora Olszewskiego.

Już od kilku dni bawi w Krakowe berliński jego współpracownik dr. Altschul, wychowanek szkół krakowskich. Bada on urządzenia i przyrządy w zakładzie chemicznym uniwersytetu krakowskiego w dziedzinie skraplania powietrza, wodoru i innych gazów, trudnych do skroplenia.

Wiec drobnych kupców. Wczoraj popołudniu odbył się w sali Filharmonii wiec drobnych kupców w sprawie popierania przemysłu krajowego. Na wiec przybyło około 300 kupców chrześcijańskich i żydowskich. Po długiej dyskusyi uchwalono następujący wniosek: „Drobni kupcy we Lwowie wzywają kolegów z miast innych, aby celem wzajemnej pomocy i rozwijania handlu, oraz niezbędnego popierania przemysłu krajowego tworzyli lokalne i powiatowe towarzystwa albo też żeby przystępowali do organizacyi już istniejących, t. j. do Towarzystwa drobnych kupców chrześcijańskich we Lwowie lub do Towarzystwa izraelickiego popierania drobnego handlu we Lwowie“.

Konkurs na posadę lekarza okręgowego w Tartakowie z roczną płacą 1000 kor. i ryczałtem na objazdy gmin w kwocie 546 kor. rozpisuje Wydział Rady powiatowej w Sokalu. Podania do 15 grudnia.

Poranek Towarzystw dobroczynnych. Panie, należące do rozmaitych Towarzystw dobroczynnych, urządziły wczoraj w południe w teatrze miejskim poranek artystyczny, złożony z produkcyj wyborowych sił artystycznych naszego miasta i z utworu, napisanego przez jedno z najdystyngowańszych lwowskich piór literackich.

Poranek rozpoczął się od prologu, bardzo dowcipnie i inteligentnie napisanego przez p. R o s s o w s k i e g o, a wygłoszonego prześlicznie przez p. Solską. Z kolei prof. S k r z y d l e w s k i, pianista pierwszorzędny, odegrał bardzo pięknie kilka utworów własnych, jakoteż Schumanna i Liszta — Wagnera. Następnie p. Z a w i ł o w s k i, który już jest dziś prawdziwym ulubieńcem naszej publiczności, przedstawił nam się jako śpiewak pieśni i wywołał ogólny zachwyt. W tych misternych, miniaturowych utworach, w których inteligentne cieniowanie, umiejętne frazowanie, wyraźna deklamacya i wysoka muzykalność śpiewaka stanowią właśnie całą wartość i całą zaletę śpiewu, okazał on się mistrzem skończonym. Podobał się on powszechnie jako śpiewak operowy, ale jako śpiewak pieśni stoi jeszcze wyżej. Schumanna wczoraj śpiewał tak cudnie, że mało zapewne znajdzie się w Europie śpiewaków, którzyby mogli mu dorównać.

Następnie pani G e m b a r z e w s k a śpiewała bardzo trudny utwór Schuberta „Małgorzata przy kołowrotku“, a w końcu, wśród ogólnego naprężenia i zaciekawienia podniosła się kurtyna i rozpoczęło się przedstawienie utworu scenicznego pt. „Jak liście z drzew strącone“. Jest to bluetka, prześlicznie obmyślana na tle bardzo głębokich refleksyj psychologicznych i szczerego, zdrowego patryotyzmu. Fabuła utworu jest następująca:

Młody człowiek, właściciel dóbr na Ukrainie, imieniem Władysław, za udział w powstaniu w r. 1863 zesłany został na Sybir. Miał on w sąsiedztwie narzeczoną, która, jak to po r. 1863 bardzo często się praktykowało, zamierzała wkrótce udać się na Sybir, aby się tam z narzeczonym połączyć dozgonnym węzłem małżeńskim. Rozmaite jednak trudności paszportowe i inne stały się powodem, że wyjazd się odroczył. Więc przez cały ten czas utrzymywała ona bardzo ożywioną korespondencyę listowną ze swym narzeczonym. W końcu los tak zrządził, że rozchorowała się i umarła. Korespondencyę owę po jej śmierci zaczęła kontynuować jej siostrzyczka, która w chwili, gdy ów młody człowiek wyjeżdżał na Sybir, była jeszcze małem dzieckiem. Korespondencya ta i nadal była jakby nicią promienną, która łączyła owego Sybiraka z ojczyzną, dodawała mu otuchy i siły do życia, znoszenia cierpień i wszystkich tortur moskiewskiego rządu. Nakoniec, po pewnym szeregu lat, Władysław otrzymał amnestyę i wrócił do kraju.

Akcya sztuki rozpoczyna się właśnie w chwili, gdy do domu marszałkowstwa, t. j. owych sąsiadów Władysława, dochodzi wiadomość że wrócił on z Sybiru i że widziano go w kościele i na cmentarzu na grobie narzeczonej. Wiadomość ta w spokojnym dworku szlacheckim robi ogromne wrażenie.

Panna Wandzia, która właśnie prowadziła owę korespondencyę z nim, ma narzeczonego, p. Adama, obywatela ziemskiego w sąsiedztwie, człowieka, który, odziedziczywszy po rodzicach majątek mocno zaszargany, ogromną pracą, oszczędnem życiem, wytrwałością, umiejętnem prowadzeniem rolnictwa, starannym dozorem nad robotnikami, doprowadził do tego, że już prawie majątek oczyścił, i że ta wioska, która miała być sprzedana na licytacyi za długi, uratowaną została dla rodziny polskiej. Oczywiście jednak, mając tak wytknięty cel przed sobą i tak silnie dążąc do dopięcia tego celu, młody ten człowiek ma umysł zawsze zajęty swymi burakami, parobkami, inwentarzem i t. d. i ustawicznie o tych rzeczach tylko rozmawia i usiłuje drugich niemi zainteresować.

Wandzia zaś prowadząc ożywioną korespondencyę z Władysławem, owym idealistą, siedzącym na Sybirze, o różnych kwestyach podniosłych, o sztuce, literaturze i t. d., małą wagę przywiązuje do tych materyalnych, ekonomicznych warunków bytu, jak zresztą każda młoda panna. Zapatrzona w ten swój ideał, przebywający na Sybirze, z lekceważeniem traktuje p. Adama. Zgodziła się na zaręczyny dlatego, że ojciec sobie tego życzył i cała rodzina nakłaniała ją do wyjścia za p. Adama, ale serce, myśli, marzenia jej były przepełnione owym Władysławem. Póki go nie było, póki on przebywał na Sybirze, nie miała nadziei widzenia go kiedykolwiek. W chwili gdy dowiedziała się, że on jest tutaj, że go za chwilę zobaczy, powstało w niej takie pragnienie zerwania tego stosunku z Adamem, że zaczęła go traktować po prostu opryskliwie i niechętnie. W chwilę zaś potem, gdy się zjawił Władysław, w uniesieniu wyznała mu prawie swą miłość. Trudną tę scenę bardzo zręcznie przeprowadził autor i przedziwną poezyą ją otoczył.

Władysław, rażony jakby gromem temi oświadczynami młodej istoty, do której właściwie żadnego innego uczucia nie żywi, prócz zwykłej sympatyi, przekonywa się po rozpatrzeniu się w sytuacyi, że rozbija swym powrotem szczęście małżeńskie dwojga młodych ludzi, jakby dla siebie stworzonych i bardzo odpowiednio dobranych, i że to uczucie, jakie panna ma dla niego, nie jest miłością, lecz fantazyą rozmarzonej główki. Więc postanawia wyleczyć ją z tych marzeń i zedrzeć w tym celu z siebie szaty bohatera. Odgrywa to w sposób nadzwyczaj zręczny i bardzo dobrze przez autora obmyślany i umotywowany. Oto opowiada on, że na Sybirze wśród tych ciężkich warunków bytu jedyną pociechą, jedynym środkiem, który skazańców trzymał przy życiu, była wódka, że wódka dopiero sprawiała to, że oni zapominali o swej strasznej pozycyi.

I w obec tej młodej panny udaje, że się upija, a po pijanemu wygłasza zdania i zasady, które naturalnie muszą w jej oczach zupełnie zedrzeć aureolę z jego głowy i przedstawić go w całkiem innych barwach i szatach, niż go ona sobie wyobrażała. Kuracya ta, jakkolwiek forsowna, jest tak rozsądnie i inteligentnie przez autora przeprowadzona, że wcale nie razi widza, owszem rozumie on, że tylko taką kuracyą mógł Władysław cel zamierzony osiągnąć. Rzecz się kończy naturalnie tem, że Władysław opuszcza ten dom i postanawia wyjechać, a panna Wandzia, jak domyśleć się należy, wyjdzie za p. Adama.

Niedołężna nasza opowieść, brutalnie przedstawiająca delikatne, pastelowe barwy, któremi autor odmalował rozmaite sytuacye i przejścia, nadzwyczajnie misternie obmyślane i nadzwyczaj subtelnie przeprowadzone, nie daje najmniejszego pojęcia o tym utworze, który zdaniem całej zgromadzonej licznie w sali publiczności bardzo inteligentnej, jest najpiękniejszym pastelem scenicznym, jaki w ostatnich latach pojawił się w naszej literaturze dramatycznej.

Zresztą czytelnicy nasi znają to nieskończenie wytrawne i niesłychanie wykwintne pióro pisarza, kryjącego się pod pseudonimem „Jan Łada,“ on bowiem jest autorem owego pastelu.

Grano utwór jego doskonale. Pani P a w i ń s k a rozwinęła taki czar poezyi i wydobyła tyle odcieni subtelnych, tak mistrzowsko oddała rozmaite porywy serca i rozbujałej młodzieńczej fantazyi, a w scenach dramatycznych wydobyła tak czarująco piękne niskie tony ślicznego swego głosu, że wprawiła w zachwyt całą publiczność.

Na tej samej wyżynie co ona stali p. Roman w roli Adama i p. Chmieliński w roli Władysława. Artyści ci z wielką subtelnością odtworzyli wszystkie przejścia bardzo trudne. Wreszcie p. Feldman, pani Węgrzynowa i p. Kwiatkiewicz, mający role mniejsze, bardzo dobrze dostroili się do całości. Po spadnięciu kurtyny nie było końca oklaskom i wywołaniom autora.

Odkrycie ohydnego morderstwa. Przed paru tygodniami zniknął bez śladu z Przemyśla rzeźnik tamtejszy nazwiskiem Struszkiewicz. Początkowo przypuszczano, że, pokłóciwszy się z żoną, wydalił się swoim zwyczajem na czas pewien z domu i że niebawem do niego znowu powróci, a przypuszczenie to potwierdzała żona Struszkiewicza, która opowiadała, że 16 października wieczorem mąż jej wrócił pijany do domu, wywołał awanturę, a następnie wyszedł z mieszkania — nie wiadomo gdzie i dokąd. Tymczasem mijały dni, a zaginiony nie powracał. Zwróciło to uwagę policyi, tem bardziej, że po Przemyślu zaczęły krążyć pogłoski, iż Struszkiewicza zamordowano i że czynu tego dokonała żona jego na spółkę z Mikołajem Kiebuzińskim, domowym przyjacielem Struszkiewiczów, człowiekiem już przeszło 60-letnim. Skutkiem tych pogłosek oboje ich aresztowano, ale wypierali się oni jakiejkolwiek winy w zniknięciu Struszkiewicza, a zarządzone przez policyę dochodzenia pozostały również bez rezultatu i nie mogły w niczem winy podejrzanych o morderstwo udowodnić. Dopiero w ostatnich dniach sprawa się wyjaśniła.

Oto Kiebuziński, widocznie pod wpływem wyrzutów sumienia i skruchy, przyznał się w piątek ubiegły, że istotnie Struszkiewicz został zamordowany, że czynu tego dokonał on razem ze Struszkiewiczową zapomocą ciężkiego wałka, którym go bili po głowie, że zwłoki zamordowanego znajdują się zakopane w ogrodzie, należącym do realności Kiebuzińskiego, a oddalonym od miejsca mordu o dwa blisko kilometry. Skutkiem tych zeznań zarządzono w ogrodzie Kiebuzińskiego poszukiwania zwłok i istotnie znaleziono je w miejscu przez niego wskazanem. Zakopane one były w dole na jeden metr głębokiem i spoczywały w worku w pozycyi skulonej; głowa i ręce zamordowanego uwiązane były do grubego patyka umocowanego pod kolanami. Zwłoki znajdowały się już w stanie rozkładu.

Podobno plan zamordowania Struszkiewicza istniał już oddawna, a powzięła go żona, która wciąż się skarżyła przed sąsiadami na męża, że ją maltretuje i bije. Kierował nią w jej zbrodniczym zamyśle także wstręt fizyczny do męża, opanowanego od lat już paru nieuleczalną chorobą weneryczną, a tak straszną w swoich skutkach, że wywołała ona u Struszkiewicza gnicie jednej części twarzy i nosa. W plan swój wciągnęła Struszkiewiczowa powoli Kiebuzińskiego, gorącego swojego adoratora, i d. 16 października dokonali oni oboje morderstwa. Gdy mianowicie Struszkiewicz wrócił pijany późnym wieczorem do domu, kazała czeladnikowi podać sobie ciężki wałek drewniany i wróciwszy do pokoju, w którym pozostał mąż jej z Kiebuzińskim, rzuciła się na męża i uderzyła go kilkakrotnie tym wałkiem w głowę tak silnie, że Struszkiewicz ducha wyzionął. Po dokonaniu tego oboje wspólnicy włożyli ciało zamordowanego do worka, zawieźli w nocy do odległego o dwa blisko kilometry ogrodu Kiebuzińskiego przy ul. Siennej i tam je zakopali.

Charakterystycznem jest, że gdy Struszkiewicz po rzekomem swoim wydaleniu się z domu zbyt długo już nie wracał, a sąsiedzi zaczęli głośno przebąkiwać, że widocznie coś złego stać się musiało, Struszkiewiczowa dla zmylenia poszlak umieściła w *Nowym Głosie Przemyskim* notatkę, w której donosi o zaginięciu męża i prosi o poszukiwanie go.

W całej tej sprawie największą sensacyę budzi współudział w morderstwie Kiebuzińskiego. Był to bowiem człowiek nieposzlakowanej przeszłości, otoczony powszechnym szacunkiem i dla uczynności swojej bardzo lubiany.

Kontrabanda. Na głównym dworcu kolejowym we Lwowie wykryli wczoraj urzędnicy akcyzowi znaczną kontrabandę. Mianowicie w beczkach, w których przewożono rzekomo oliwę z Rosyi do Czerniowiec znaleźli oni tabakę rosyjską.

Ze Stryja nam piszą: Panie należące do Towarzystwa „Prządki“ urządziły koncert na cel dobroczynny. Inteligencya naszego miasta i powiatu zapełniła salę resursy po brzegi. Pani S. P. ze Lwowa odśpiewała pięknie aryę z opery „Ernani“ i Gounoda „Wiosnę“. Technickie kółko mandolinistów odegrało z wielkiem powodzeniem kilka utworów. Prymaryusz tut. szpitala dr. Sołtysik odegrał prześlicznie kujawiaka Łady. Znany amator p. Stanisław Szawłowski odegrał prześlicznie Chopina Etudę i „Impromptu“ następnie własną kompozycyę „Z melodyj węgierskich“. Oklaskom nie było końca, wywołano go kilka razy. Koncert wogóle udał się świetnie.

Gremialne złożenie godności. Cały zarząd miasta Rzeszowa wraz z burmistrzem dr. Jabłońskim złożył swoją godność. Przyczyną tego jest ten fakt, że komisya rewizyjna wykazała wielkie nieporządki w budżetowaniu gminy, a Rada miejska uznała działalność tej komisyi za dobrą. To uznanie zarówno burmistrz, jak i magistrat wzięli za wotum nieufności dla siebie. Nadmienić musimy, że wskutek ogłoszonego drukiem wyniku dokonanej rewizyi, Wydział krajowy wydelegował osobną komisyę, która istotnie stwierdziła ubytek 60.000 K. z funduszu zakładowego gminy.

I. kurs drukarski otwarto wczoraj przed południem w Krakowie. Zapisało się uczniów 79, w tem 62 praktykantów i 17 zecerów. Dla praktykantów nauka jest przymusowa. Nauka obejmuje język polski, niemiecki, oraz alfabet rosyjski i grecki, rysunki, składanie i zapoznanie się z maszynami i farbami. Wykłady odbywają się w sali miejskiego muzeum techniczno-przemysłowego.

Śmiertelne pobicie. W jednym z szynków lwowskich przyszło wczoraj do sprzeczki pomiędzy pewnym piaskarzem, nazwiskiem Bodnarowicz, a kilkoma żołnierzami. Od słów przyszło do bójki i podczas niej żołnierze owi porznili tak ciężko Bodnarowicza tasakami, że obecnie dogorywa on w szpitalu powszechnym.

Karygodne niedbalstwo. W domu przy ul. Gródeckiej l. 55 umarł 25 bm. trzyletni syn pewnego wyrobnika. Z powodu braku roboty wyrobnik ów znajduje się od długiego już czasu w formalnej nędzy, to też gdy syn mu umarł, nie miał go nawet za co pochować. Gdy zabiegi jego o pozyskanie na ten cel potrzebnej sumki niedoprowadziły do żadnego rezultatu, zwrócił się biedak do komisaryatu swojej dzielnicy z prośbą, ażeby komisaryat zajął się pogrzebaniem jego syna. Komisaryat przyjął prośbę biednego ojca do wiadomości, ale dotychczas, pomimo upływu pięciu już dni od śmierci dziecka, ani nie pomyślał o pochowaniu go. Skutkiem tego zmarłe dziecko spoczywa do tej chwili jeszcze w mieszkaniu rodziców, choć ciało jego znajduje się w stanie rozkładu i gnić już zaczęło.

Przestarzały zwyczaj. Magistrat miasta Warszawy udał się do władzy rosyjskiej z prośbą o pozwolenie nazwania szpitala niedawno wzniesionego na Pradze imieniem N. M. Panny, a szpitala, również niedawno zbudowanego na Woli, imieniem św. Feliksa. Czynownictwo moskiewskie nadesłało rezolucyę odmowną, w której powiedziało, że nazywanie szpitali imionami świętych jest przestarzałym zwyczajem. I po takiej decyzyi ministerstwa Rosya ma jeszcze czoło udawać w Konstantynopolu, że jest państwem chrześcijańskiem!

Dom polski w Rzymie. Dotychczas punktem zbornym Polaków, przebywających w Rzymie, szczególnie artystów, jest *Café Greco Antico* na Via Condotti, posiadająca od lat 7 polską czytelnię. Obecnie powstała myśl zbudowania osobnego Domu polskiego, któryby stanowił rodzaj ogniska towarzyskiego dla Polaków, przybywających do Rzymu, dawał im potrzebne informacye, oraz mieszkanie i był niejako klubem polskim. Wybrano dla tej sprawy komitet, złożony z rzeźbiarza T. Riegera jako prezesa i pp. Darowskiego, Maszewskiego i Grajnerta, głównie dla przeprowadzenia rokowań z warszawskiem Towarzystwem sztuk pięknych, gdyż Towarzystwo to posiada zapis hr. Tyszkiewicza, wynoszący dziś z dwadzieścia kilka tysięcy rubli, a przeznaczony na zbudowanie lub kupno willi dla chorych artystów na Riwierze. Otóż idzie o to, czy nie dałoby się użyć tych pieniędzy na cel utworzenia podobnej willi w Rzymie, co nie bardzoby odbiegało od pierwotnej myśli zapisodawcy.

Zmarli. W Krakowie, dr. Rudolf Trzebicky, pensyonowany jenerał-lekarz sztabowy, ojciec zmarłego niedawno prof. dra Trzebickyego, przeżywszy lat 75.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano +1, w poł. + 2. Bar. 749. Spada. Pochmurno.

W sądzie.

— Jesteś recydywistą?

— Nie, panie sędzio, mieszczaninem.

— Tak, ale już drugi raz stajesz przed sądem.

— Nie, panie sędzio, czwarty.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś w poniedziałek po raz 2gi „Pan Choufleri przyjmuje,“ operetka 1 akcie. Nastąpi „Divertissement,“ balet w 1 akcie układu St. Sachsa. Zakończy „Dziesięć cór na wydaniu,“ operetka Souppégo. — We wtorek „Uczeń szatana,“ sztuka w 3 a. Bernarda Shaw.

Teatr ludowy (ul. Zimorowicza 17). We wtorek przedstawienie dla dzieci: „Uczony“ Dydyńskiego, „Moralista“ Bolesławicza i „Pani, pan sędzia i Kazio“ Świderskiego. Początek punktualnie o godz. 5ej. — We czwartek „Rinaldo Rinaldini,“ po cenach studenckich.

Colosseum w pasażu Hermanów. Od 1-go grudnia nowy program: Renée Debauga z teatru „Olympia“ w Paryżu, słynna przedstawicielka póz chromoplastycznych. Wally-Hosté, sensacyjna kombinacya akrobatyczna. 8 Fleurs d'Orange (Holandya w śpiewach i obrazach). 5 Trenellos gimnastycy i cały nowy sensacyjny program. Codziennie o 8 wspaniałe przedstawienie. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** W sobotę wystawiono u nas po raz pierwszy jednoaktową operetkę Offenbacha p. t. „Pan Choufleri przyjmuje,“ jeden z owych licznych drobiazgów scenicznych, które ugruntowały sławę Offenbacha jako mistrza lekkiej, wesołej muzyki, tryskającej werwą, pełnej niewymuszonej, a zawsze świeżej inwencyi, żywego podniecenia i śpiewności. Specyalnością tej właśnie operetki są ponadto ustępy, w których kompozytor świetnie parodyuje styl współczesnej mu wielkiej, tragicznej opery, a więc opery Meyerbeerowskiej i włoskiej opery lirycznej. Libretto, nie pozbawione dowcipu, zawiera satyrę na parweniusza który osiąga cel najśmielszych swych marzeń, mianowicie wydaje wieczór, uświetniony koncertem, czyli, jak się wyraża z wielkopańska, „przyjmuje“. Jednakże śpiewacy, których zaprosił, a których w przekładzie polskim nazwano Myszugini, Jeromini i Arklini, nie przybywają, a nieszczęśliwego gospodarza ratuje spryt córki i jej ukochanego, ubogiego muzyka, którzy przebierają się za owych śpiewaków — trzecim w tercecie jest sam p. Choufleuri, gospodarz. Scena

operowa, jaką ci troje wykonują, a w której ojciec wyklina córkę, która się kocha we „wrogu", przemienia się w rzeczywistość, bo Choufleuri dow'aduje się podczas niej, że ubogi muzyk rzeczywiście chce się ożenić z jego córką. Goście, słuchający koncertu, o tem wszystkiem oczywiście nie wiedzą. Wreszcie ów muzyk przez groźbę, że zdradzi całą tajemnicę, mianowicie powie, kto są ci mniemani sławni śpiewacy włoscy, zmusza p. Choufleuri, żeby przyjął go za zięcia.

Wykonano tę wyborną operetkę bardzo dobrze. Ów tercet parodystyczny wykonali z świetnym humorem pp. Malawski, Kliszewska i Lelewicz, to ostatni już samem wejściem swem na scenę w przebraniu jako srogi ojciec operowy wywołał burzę oklasków. Dobrym był również p. Kosiński jako Bretończyk, przebrany za angielskiego grooma. Całość zrobiła bardzo korzystne wrażenie.

Nastąpił balet „Divertissement", złożony z kilku tańców narodowych. Punktem kulminacyjnym był *Cake-Walk*, tańczony przez troje rodzeństwa pp. Sachsów. Umyślnie niezgrabne ruchy, wyszydzające komiczną elegancyę cywilizowanych murzynów, wykonane były drastycznie, ale w granicach artystycznych; zwłaszcza wyróżniła się starsza panna Sachsówna. Taniec ten na żądanie publiczności powtórzono. Wiele oklasków zbierała też panna Staszko za solo baletowe.

Na zakończenie odegrano jednoaktową operetkę Souppégo pt. „Dziesięć cór na wydaniu". Souppé nie może się w porównanie z Offenbachem, ale jednak umiał włożyć w partyę tej jednoaktówki dość dużo życia i parę charakterystycznych motywów. Dowcip libretta jest trochę ciężki. Główną sceną jest prezentacya przez ojca dziesięciu córek mniemanemu konkurentowi, z których każda w innym stylu jest wychowana. W rolach produkujących się tych cór wyróżniły się p. Łopatyńska ładnym śpiewem, p. Kasprowicz doskonałą satyrą na sztywność i monotonię angielską w śpiewie, panna Jankowska deklamacyą.

Tę operetkę przyjęła publiczność życzliwie. Teatr był pełny.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 28 listopada.

(Z.) Z gorączkowym niepokojem śledzą sfery giełdowe przebieg owej walki, jaką rozpoczął nowy prezes gabinetu węgierskiego z obstrukcyą. Sympatye giełdy w tej sprawie jest całkiem po stronie hr. Tiszy, a powody jej są natury czysto praktycznej. Pokonanie bowiem obstrukcyi otworzyć musi zupełnie nowe pola rozwojowi życia ekonomicznego na Węgrzech, a kapitały, zarówno rządowe jak i prywatne, rozlegą się szeroko strugą. Dlatego też już pierwszy sukces parlamentarny hr. Tiszy t. j. przyjęcie przez większość sejmową wniosku o urządzanie podwójnych posiedzeń, chociaż jeszcze nie przesądza o ostatecznym wyniku walki, odbiło się nadzwyczajne korzystnie na kursie wszystkich papierów węgierskich. Szczególnie akcye banków węgierskich rosną w cenie codzień od chwili powzięcia owej uchwały przez sejm. N. p. akcye węgierskiego banku kredytowego są dziś o 12 koron droższe niż były wczoraj. Mówią, że bank ten zamierza w najbliższym czasie podwyższyć swój kapitał akcyjny.

Dyrekcya pierwszej austryackiej Kasy oszczędności w Wiedniu postanowiła począwszy od Nowego Roku podwyższyć o 1/4% stopę procentową opłacaną od wszystkich wkładek. Od wkładek mniejszych niż 5000 koron opłacać będzie 3 1/2%, a od większych 3 1/4%. Jakkolwiek podwyższenie to wynosi tylko 1/4% — mimo to zwiększy ono wydatki Kasy oszczędności o 1,200.000 koron rocznie, gdyż suma wkładek ulokowanych w tej instytucyi wynosiła z końcem roku ubiegłego 467.000000 koron, a dziś jest zapewne jeszcze większa.

Giełda z tego głównie względu upatruje w decyzyi pewny wypadek ogromnej doniosłości, że bierze go za niezmylną oznakę polepszenia się stosunków gospodarczych w Wiedniu i zwiększonego zapotrzebowania kredytu na cele przemysłu i handlu. W zarządzie Kasy oszczędności zasiadają bowiem wytrawni finansiści, jak np. prezes dyrekcyi [illegible], którzy z pewnością nie byliby się odważyli obciążyć tej instytucyi nowym wydatkiem 1.200.000 koron rocznie, gdyby nie mieli pewności, że potrafią odpowiednio fruktyfikować kapitały wkładkowe.

Zarządy wielkich kolei prywatnych, tj. kolei północnej, północno-zachodniej i Statsbahnu przygotowują rzecz bardzo nieprzyjemną dla kartelu naftowego, a pośrednio i dla całej ludności. Oto chcą one [illegible] taryfowe i wprowadzić na swych liniach w życie taryfę normalną, która jest prawie dwa razy wyższą od dotychczasowej. Niewiadomo jeszcze, czy także koleje państwowe zrobią to samo. Bądź co bądź inicyatywa ta [illegible] grozi nowe niebezpieczeństwo, bo zachodzi obawa, że kartel naftowy przerzuci nowy ten ciężar na barki konsumentów przez dalsze podwyższenie ceny nafty.

§ **Sprawozdanie targowe lwowskiej izby kupieckiej.** Lwów 24 listopada. (Ceny w koronach za 50 kg. netto loco (partias) Lwów bez akcyzy). Pszenica prima 8.30—8.50, średnia —.—, żyto prima 6.75—6.90, średnio 0.00—0.00, jęczmień browarny 5.40—5.75, pastewny 0.00—0.00, owies prima 5.60—5.75, średni 0.00—0.00, kukurudza prima 5.25—5.40, [illegible] siemię lniane 9.00—9.10, siemię konopne 6.75—7.00, groch do gotowania 8.50—8.75, zielony 9.00—9.25, pastewny 6.00—6.25, bobik koński 5.25—5.50, wyka 5.00—5.25, otręby pszenne 3.50—3.60, żytne 3.30—3.40, koniczyna czerwona 00.00 do 54.00, biała prima 60.00—65.—. Chmiel 160—175. Anyż [illegible] 24.— do 25, [illegible] 28.00—30.—. Tymotka 20.— do 20.50.

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: — Husiatyn-Stanisławów kont. 36.75—37.00, nadkont. 24.00—24.50; Tarnopol-Brody kont. 37.00—37.25, nadkont. 24.25—24.75; Sokal-Jarosław kont. 37.50 do 37.75, nadkont. 25.00 do 25.50; rafineryi Lwów kont. 38.50 do 38.75, nadkont. 25.75 do 26.25. — Cena bez wszelkich kosztów za 100 litrów 100 proc.

Z izby sądowej.

Lwów 30 listopada.

„Reformator" przeciw „Monitorowi".

Rozprawa weszła dziś w ostatnie stadyum. Sędziom przysięgłym postawiono długi szereg pytań, potem rozpoczęły się wywody. Najpierw zabrał głos imieniem oskarżyciela dr. Tenner. W danym wypadku — rzekł — chodzi o drogocenny klejnot obywatelski, o cześć, a chociaż i o p. Breiterze się mówi, że on cześć obywatelską narusza, to jednak jest w tym względzie wielka różnica między oskarżycielem a oskarżonymi: redaktor *Monitora* działa z pobudek czystych i bezinteresownych, po drugiej zaś stronie widzimy pospolitą chęć zemsty i zysku. Nikt nie może powiedzieć o p. Breiterze, jakoby w swoich dziennikarskich kampaniach postępował lekkomyślnie, i nie czuł odpowiedzialności za swe zarzuty, tymczasem zachowanie się oskarżonych wygląda na igraszkę. Kiedy bowiem bezpodstawność zarzutów co do przekupstwa przy wyborach do rady powiatowej i co do nieproszonej interwencyi p. Breitera w Załuczu jasno się okazała, i p. przewodniczący zapytał p. Daniluka, czy może wobec jednomyślnych zeznań świadków cofnie te dwa zarzuty, oskarżony oświadczył, że je mimo wszystko podtrzymuje. Na cóż liczą oskarżeni? Na to, o czem pisało *Słowo polskie* w pierwszym dniu rozprawy: że gdyby choć połowa zarzutów wytoczonych w *Reformatorze* była prawdziwą, to p Breiter powinien oddawna gnić w Brygidkach. Rzucili więc oszczerstw mnóstwo w nadziei, że im się uda choć kilka z nich podtrzymać i w ten sposób złamać egzystencyę polityczną p. Breitera podczas, gdy oni ryzykują w najgorszym razie tylko nieznaczną grzywnę

Zarzuty *Reformatora* podzielił dr. Tenner według ich kalibru na 3 kategorye: gołosłowne przezwiska, jak „drab", „pluskwa", „urwipołeć" itd., charakteryzując zjadliwość oskarżonych, dalej zarzuty co do przekupstwa, pokrzywdzenia Przyjemskiego, Wiśniewskiego, co do Załuczan, i co do zorganizowania bandy pałkarzy; wreszcie rzekoma namowa do zamordowania Daszyńskiego, Mokłowskiego i Hudeca. Każdy zarzut z drugiej i trzeciej kategoryi omawiał dr. Tenner, zbijając je przytoczeniem zeznań świadków. Szerzej rozwiódł się nad zeznaniami świadków socyalistów. Opowiadali oni ogólnikowe zbójeckie historye, usiłowali uformować podwalinę, na którejby fantazya mogła dalej budować domysły. Tego rodzaju nie zeznania, lecz opinie, zabarwione animozyą partyjną, trzeba brać krytycznie. Zważmy, że p. Breiter miał tylko kilkudziesięciu agitatorów, socyaliści mieli ich tysiące, i rzecz dziwna, pomimo rzekomych niebezpieczeństw, grożących ze strony p. Breitera, przywódzcy socyalistyczni uwijali się po wszystkich zakątkach okręgu wyborczego, a nigdy ich nie poturebowano, z wyjątkiem napadu jajowego, który zorganizował p. Ćwikliński. Tymczasem partya socyalistyczna, gdy chce urządzić p. Breiterowi kocią muzykę, znajduje wnet chętnych demonstrantów, w ich gronie notorycznych złodziei. Policya poświadczyła, że w czasie wyborów miała do czynienia tylko z napadami socyalistów. Wymysł Ćwiklińskiego, jakoby p. Breiter nakłaniał go do zasztyletowania Hudeca, jest śmiesznym, bo zamordowanie Hudeca nie miałoby po prostu sensu, nie przyniosłoby p. Breiterowi żadnej korzyści, gdyż na miejscu Hudeca postawiliby socyaliści nowego kandydata — a mają ich w swem gronie podostatkiem — któryby miał po śmierci Hudeca dziesięć razy więcej szans wyboru.

W końcu domagał się mówca werdyktu, zasądzającego oskarżonych. W razie uwolnienia ich znajdą się w rękach wszystkich członków parlamentu tryumfujące doniesienia p. Daniluka i obcy ludzie pomyślą sobie: co za nieszczęśliwy kraj, w którym człowiek, godny gnić w kryminale, dostaje mandat do parlamentu.

Potem przemawiał obrońca Ćwiklińskiego dr. L u b i n g e r i starał się głównie wykazać, że zarzut co do namowy do skrytobójstwa jest uzasadnionym. Należy sobie tylko uprzytomnić całą atmosferę wyborczą, należy zważyć zeznanie Przyjemskiego, któremu p. Breiter podarował toporek do rozbicia głowy Hudecowi. Zresztą ponieważ nie p. Breiter zasiada na ławie oskarżonych, lecz p. Ćwikliński, nie idzie tu o orzeczenie, czy p. Breiter istotnie skrytobójstwo układał, ale tylko o jedną część tej sprawy, mianowicie, czy można z absolutną pewnością orzec, że p. Ćwikliński fakt ten zmyślił. A że poważne są przyczyny, żeby opowieści p. Ćwiklińskiego nie lekceważyć, tego dowód dała prokuratorya państwa, która z ramienia urzędowego w tę sprawę się wdała.

Obrońca p. Daniluka dr. Z i p p e r rozpoczął od tego, że nie chce tak jak rzecznik oskarżenia, obniżać poziomu rozprawy dyalektyką palestrancką i badaniem poszczególnych zarzutów i zeznań rozstrzygać, czy w tym lub owym wypadku brakuje kropki nad „i", czy nie. Rozprawa niniejsza, to kawał dziejów kulturalnych tego kraju, to kwestya nadzwyczaj ważna dla całego społeczeństwa, które dotychczas cierpiało pod obuchem roboty p. Breitera.

P. Breiter jak mało kto wyposażony był przymiotami, które mu mogły zapewnić zaszczytną rolę w odrodzeniu tego kraju; jest człowiekiem zdolnym, energicznym i bogatym. Ale niestety nie pozostał wiernym ideałom, które wyniósł z ław uniwersyteckich i zamiast w partyi socyalno-demokratycznej czuć się szeregowcem i czekać na to, aż wieniec wawrzynowy poda mu kraj cały za wierność i posłuszeństwo jednej idei, on „stał się sam sobie sterem", aż wreszcie osiadł na mieliźnie. Zdeprawował wielu ludzi, zaprowadził wszędzie manię delatorską, zwyczaj lekkomyślnego szkalowania ludzi, podminował cały kraj monitorszczyzną.

Nie jest prawdą, co twierdził rzecznik oskarżenia, że p. Breiter wszedł tu w pełni swej czci obywatelskiej, gdyż nie reagował on wcale na inne zarzuty *Reformatora*, np. że namówił do obicia p. Wysloucha, że zniszczył rodzinę adwokata Roińskiego, który sam jest teraz schorzały i oślepły.

Tu nie pp. Daniluk i Ćwikliński są oskarżonymi, oskarżenie podnosi przeciw p. Breiterowi społeczeństwo, które protestuje przeciw temu, żeby cały kraj był jedną bandą opryszków, jakby to się wydawało według *Monitora* a jedynym Katonem był p. Breiter. Werdykt uwalniający oskarżonych będzie dla p. Breitera rozkazem „hands off", nauczką, że ta droga, którą obrał, nie jest właściwą, dla społeczeństwa zaś będzie gałązką oliwną, zapewniającą spokój przyszłym pokoleniom; werdykt ten będzie zapisany złotemi głoskami, jako zakończenie ciężkich czasów.

Na to odrzekł dr. T e n n e r, że uważa za całkiem niewłaściwą metodę obrony, według której na miejscu oskarżonych substytuuje się jako oskarżyciela całe społeczeństwo i powołuje się sędziów przysięgłych do rozstrzygania sprawy, która nie istnieje. Gdyby się na ten teren puścić, gdyby każda strona miała wytaczać swoje subjektywne zapatrywania i powoływać się na doniosłość swojej roli dla całego społeczeństwa, to i p. Breiterowi nie zabrakłoby w tym kierunku na argumentach, mógłby on na dowód pożyteczności swego działania mówić o setkach ludzi, którzy go uważają za swego zbawcę.

Ale tu nie chodzi o sprawy tak ogólne, lecz jedynie o prawdę i wydanie zasądzającego werdyktu. Sądziowie przysięgli bynajmniej nie zsolidaryzują się z *Monitorem*. Zastrzega się w końcu dr. Tenner przeciw mięszaniu do rozprawy kwestyi, których niektórzy sędziowie przysięgli wcale nie znają. Choroba dra Roińskiego nie ma nic wspólnego z atakami *Monitora*, jego sprawa z p. Breiterem była już przedmiotem procesu przed sądem przysięgłych i ława przysięgłych orzekła, że choć p. Breiter nie udowodnił winy dra Roińskiego, to jednak poruszył tę sprawę w dobrej wierze, a przytem kierował się szlachetną pobudką zrehabilitowania czci człowieka, którego dziś pokrywa mogiła (p. Jackowskiego). P. Breiter zarzutów w *Monitorze* wytoczonych bronił zawsze w sądzie lojalnie argumentami, nie zasłaniał się szczytną rolą dziennikarza i stróża moralności; wygrywał procesy lub podlegał karze; tak samo powinni być odpowiedzialnymi i oskarżeni.

Dr. Z i p p e r replikował na tę mowę dra Tennera, podnosząc, że instytucya sądów przysięgłych w sprawach prasowych została zaprowadzona w tym celu, żeby sprawy te sądzone były nie przez ciasny pryzmat paragrafów kodeksu, lecz na tle szerszem, obywatelskiem. Nie idzie oto, czy zarzuty *Reformatora* są w dosłownem brzmieniu uzasadnione; pracę dziennikarską można przyrównać do pracy fotografa, na fotografii każdej jest wiele pomyłek, ale na ogół bywa każda wierną. Trzeba zważyć, że jęk każdej ofiary nie odpowiada stopniowi boleści, bywa za silny lub za słaby. Gdyby p. Breiter wyszedł z tej sali tryumfatorem, znęcałby się dalej nad społeczeństwem.

Po przemówieniu dra Zippera zawołał ktoś w audytoryum: pereat! niewiadomo do kogo się odnoszące.

Po krótkiem *resumé* przewodniczącego r. Szymonowicza udali się sędziowie przysięgli na naradę o godz. 1 1/2. Pytań postawiono im 49.

Z Koła polskiego.

(Telegram Przeglądu).

Wiedeń 30 listopada. Na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego zawiadomił minister Piętak, że fundusze przezczone na złagodzenie skutków klęsk elementarnych w Galicyi, zostały podwyższone. Mianowicie oprócz przeznaczonych już na ten cel 2,900.000 koron przeznaczył rząd jeszcze 800.000 koron, tudzież 600.000 koron na regulacyę Wisły i Rudawy. Sumy 800,000 koron może namiestnik użyć częściowo także na pożyczki bezprocentowe dla miast, nawiedzonych pożarami, a na wiosnę może przedłożyć ministerstwu dalsze wnioski. P. Gniewosz żądał, aby uwzględniono pogorzelców Monasterzysk, a p. Niementowski domagał się tego samego dla pogorzelców Mikuliniec, co uchwalono.

Następnie prowadzono przez kilka godzin poufną dyskusyę nad sprawozdaniem komisyi parlamentarnej Koła o konferencyi jej z drem Koerberem.

Znaczną większością głosów uchwalono następującą rezucyę p. Henzla:

„Czyniąc swój stosunek do rządu zależnym od politycznego zachowania się jego w sprawach dotyczących kraju naszego i od szczerego popierania przez rząd usiłowań, podjętych celem uzdrowienia parlamentu, przyjmuje Koło polskie do wiadomości przychylne dla kraju oświadczenie rządu".

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń 30 listopada. Dzienniki donoszą, że tutejsi studenci włoscy układali na uniwersytecie demonstracyę przeciw zajściom w Insbruku i w sprawie założenia uniwersytetu w Tryeście. Przyłączyli się do nich słowiańscy studenci w sprawie uniwersytetu czeskiego na Morawii i uniwersytetu słoweńskiego. Wskutek upomnienia, udzielonego przez rektora deputacyi włoskich studentów zaniechano demonstracyj. Mimo to przyszło w auli do kilku drobnych starć.

Po „bummlu" udali się studenci przed parlament, aby tam urządzić demonstracyę. Policya odparła ich, poczem powrócili na uniwersytet i obsadzili wejście do gmachu. Wkrótce przybyli też studenci niemiecko-narodowi i wszczęła się zacięta bójka; wreszcie policya usunęła demonstrantów. Kilkunastu studentów aresztowano.

Paryż 30 listopada. Ajencya Havasa donosi, że Dreyfus wręczył ministrowi sprawiedliwości d. 20 b. m. prośbę o ponowną rewizyę jego procesu. Niektóre twierdzenia jego zostały podobno potwierdzone przez pewne szczegóły, jakie wykrył minister wojny André w tajnem *dossier* i które podał do wiadomości ministra sprawiedliwości. Szczegóły te przedłożył minister sprawiedliwości komisyi rewizyjnej.

Niektórzy utrzymują, że minister wojny stwierdził, że sądowi w Rennes przedłożono niektóre akta, uznane formalnie za sfałszowane, zaś innych uniewinniających dokumentów nie przedłożono; zeznania niektórych świadków miały być złożone nie dobrowolnie.

Lanterne twierdzi, że Dreyfus oparł swą prośbę na tem, iż zeznania świadków Czernuskiego i byłego archiwaryusza Gribelina były fałszywe jakoteż na fakcie, iż w pewnych dokumentach poczyniono jakieś zmiany. Były archiwaryusz Gribelin miał złożyć wobec ministra wojny ważne zeznania.

Figaro donosi, że dziś w Izbie dep. wniesiona będzie interpelacya w tej sprawie.

Kraków 30 listopada. Wczoraj odbyło się w sali Rady miejskiej nadzwyczajne zgromadzenie urzędników prywatnych okręgu krakowskiego. Naczelnik Towarzystwa urzędników prywatnych p. Bal ze Lwowa wygłosił referat w sprawie ubezpieczenia urzędników prywatnych. Wobec tego, że przymusowa ustawa pensyjna nie ma szans uchwalenia w Radzie państwa z powodu, iż Rada państwa nie jest zdolną do pracy, zachęcał do przystępowania do Towarzystwa, które ubezpiecza taniej od innych Towarzystw, oraz do silniejszej organizacyi. Na 20.000 urzędników prywatnych w Galicyi, należy do Tow. tylko 2100.

Uchwalono rezolucyę p. Gajdeczki, upoważniającą prezydyum zgromadzenia do wniesienia petycyi do Rady państwa i Koła polskiego o jak najrychlejsze wprowadzenie w życie przymusowej ustawy pensyjnej dla oficyalistów prywatnych.

Poznań 30 listopada. *Berliner Neuste Nachichten* donoszą, że w najbliższej sesyi sejmu pruskiego rząd zaproponuje uchwalenie nowych kredytów dla wzmocnienia niemczyzny w dzielnicach polskich.

Nationalliberale Correspondenz donosi, że oficerowie pozostający dłuższy czas w załogach pogranicznych miasteczek wschodnich, otrzymają dodatek do pensyi jako wynagrodzenie za niedogodności tego pobytu. Sprawa ta ma być poruszona w parlamencie.

Londyn 30 listopada. W mowie, wygłoszonej na bankiecie w sobotę, rzekł prezydent ministrów Balfour w sprawie organizacyi wojska, że dla obrony kraju angielskiego nie jest potrzebna wielka stała armia, potrzeba jej natomiast dla obrony Indyj przed sąsiednią Rosyą, jakkolwiek Anglia jest z tem państwem w przyjaznych stosunkach.

Bordeaux 30 listopada. Strejkujący robotnicy portowi udali się przed ratusz, celem urządzenia demonstracyi. Przyszło do starcia z policyą, która wielu z nich zraniła.

Paryż 30 listopada. Do „Ajencyi Havasa" donoszą z Tokio: Rokowania pomiędzy Japonią a Rosyą są od 10 dni przerwane, jak słychać, z powodu słabości carowej. Przerwa ta sprawia w opinii publicznej wielkie wrażenie.

Wiedeń 30 listopada. Do *Pol. Corr.* donoszą z Petersburga, że rząd rosyjski zarządził w rozmaitych stronach Finlandyi środki ostrożności, wobec oznak ewentualnego nowego wybuchu ruchu narodowego.

Budapeszt 30 listopada. Deputacya okręgu wyborczego Ugra wręczyła wczoraj hr. Tiszy mandat poselski do sejmu. Hr. T i s z a wygłosił mowę, w której podniósł, że wytrwa tak długo, dopóki pozwolą mu na to siły, jakie dał mu Bóg. Walka jest zbyteczna, skoro program wojskowy sprowadził spokój w całym kraju. Znaczna większość narodu nie życzy sobie walki. Co się tyczy zachowania się opozycyi, powiedział Tisza, że rząd nie będzie się wahał użyć ostrych środków, gdy sytuacya będzie tego wymagała. Rząd musi pokazać, że ma siłę do przeprowadzenia swej woli, co nie jest wcale gwałtem, ani nie sprzeciwia się konstytucyi, lecz jest wykonaniem praw konstytucyjnych ze strony większości, nakazanem jej przez obowiązek patryotyczny. Mówca zakończył, że będzie dalej kroczył na drodze, na którą wstąpił i albo zwycięży, albo padnie wśród drogi.

Konstantynopol 30 listopada. Porta poleciła swemu belgradzkiemu posłowi poczynić przedstawienia rządowi serbskiemu z powodu, że ciągle jeszcze bułgarscy rewolucyoniści przekraczają granicę.

Czerniowce 30 listopada. Z powodu trzech wypadków dyfteryi w rodzinie portyera uniwersytetu, zawieszono wykłady. Senat czyni starania, aby wykłady odbywały się w prywatnych lokalach. Inauguracyę, która miała się odbyć 2 grudnia, odłożono do 27 stycznia.

(Depesze popołudniowe).

Lyon 30 listopada. Na tutejszej giełdzie robotniczej odbyło się zgromadzenie robotników, przyczem przyszło do demonstracyj przeciw biurom pośrednictwa pracy. W starciu z policyą jedna osoba zginęła, a jeden policyant jest ranny.

Ateny 30 listopada. Grupa studentów urządziła powtórnie demonstracyę przed teatrem królewskim z powodu wystawienia sztuki „Orestye" w języku nowo greckim. Policya rozproszyła manifestantów przy pomocy sikawek. Wnet potem jednak przyszło znów do starcia, podczas którego padł strzał. Jedna osoba zabita.

Chrystyania 30 listopada. Na posiedzeniu storthingu ostrzegał prezydent ministrów przed dążnościami do obniżenia wydatków na obronę kraju, która jest warunkiem egzystencyi narodu. Zaznaczył także konieczność zorganizowania obrony północnej Norwegii. Przewodniczący komisyi budżetowej oświadczył, że jeśli się nie obniży wydatków na obronę krajową, to wywoła się przez to ruch nieprzyjazny dla obrony krajowej. Finanse Norwegii muszą być uporządkowane także ze względu na obronę krajową, ponieważ cóż pomoże, jeśli się jest uzbrojonym, skoro ta zbroja zanadto cięży narodowi.

Bupapeszt 30 listopada. Poseł do sejmu Smiałowsky wystąpił ze stronnictwa liberalnego.

Budapeszt 30 listopada. Na dzisiejszem posiedzeniu sejmu prowadzi opozycya dalej techniczną obstrukcyę. Po odczytaniu protokołu zgłosił Lengyel 23 poprawek do protokołu, domagając się między innemi sprostowania błędów ortograficznych i t. d. Przewodniczący oświadcza, że niektóre poprawki Lengyela nie stoją w żadnym związku z uwierzytelnieniem protokołu. Nessi zgłasza szereg dalszych poprawek. Nagy, z partyi rządowej, wnosi przejście do porządku dziennego nad wszystkiemi poprawkami. (Wielka wrzawa na ławach opozycyi.)

Zabiera głos kilku posłów opozycyjnych, aby zaprotestować przeciwko twierdzeniu Nagyego, że obstrukcya stroi sobie żarty. Poseł Papp zgłasza nowy szereg poprawek, domagając się głosowania nad każdą z osobna.

Przewodniczący zajmuje stanowisko to, że albo musi przyjąć protokół w całości tak jak jest, albo głosować nad wszystkiemi poprawkami *en bloc*.

Hr. T i s z a chce zabrać głos,

Poseł Kecskemety woła: Chciałbym także usłyszeć coś o nafcie.

Tisza: Gdybym Panu odpowiedział, wykroczyłbym przeciw przyzwoitości parlamentu.

Posiedzenie trwa dalej.

Kraków 30 listopada. *Głos Narodu* donosi że po wczorajszem przedstawieniu w teatrze ludowym artysta teatru tego p. Sowiński z powodu jakiegoś nieporozumienia z dyrektorem Müllerem napadł nań przy wyjściu z teatru i groził laską. Müller wydobył rewelwer i wystrzelił w powietrze na postrach, a gdy to nie skutkowało, strzelił drugi raz i ranił Sowińskiego lekko w nogę.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 30 listopada. Ks. H. Lubomirski z Równego. Hr. L. Marchocki z Odessy. Hr. Z. Czosnowski z Podola. M. Zakrzewski z Wiktorowa. W. Zieliński z Iwanczan. W. Bogdanowicz z Hajworonki. M. Elias, R. Patek i R. Kohn z Wiednia. H. Falter, ks. M. Ponińska i J. Wężyk z Krakowa. Ks. M. Jabłonowska z Bursztyna. E. Mostofowicz ze Strzyżowa. J. Storfer z Czerniowiec. K. Abrahamowicz z Bukowiny. R. Garapich z Zagórzan. M. Garapich z Cebrowa. K. Brockl z Podola. J. Klein z Kańczugi.

HOTEL FRANCUSKI.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 30 listopada. N. Lekczyńska z Remenowa. T. Wojnarowski z Baliniec. K. Grabewski ze Schodnicy. K. Moszczeński z Żuczki. J. Krzysztofowicz z Artasowa. J. Kurzówna z Warszawy. H. br. Wattmann z Rudy rożanieckiej. G. Rieger z Budapesztu. A. Rzetzer, L. Petzl i G. Bader z Wiednia. N. Widajewiczowa z Wołcniowa. K. Löffler i A. Rochel z Czortkowa. B. Krause i K. Makarewicz z Kijowa. K. Piątkowscy z Józefówki. A. Kasparek z Krakowa. K. Eliaszowie z Drohobycza. A. Heller z Wiednia. A. Zaremba z Twierdzy. W. Zum z Tryestu.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 30 listopada. Hr St. Jabłonowski z Popowiec. S. Agopsowicz z Błażowa. W. Czaykowski z Bóbrki. W. Polański z Rudnik. K. Klima, dr. F. Dembicki i J. Marmorosz z Kołomyi. C. Epstein z Zagrzebia. M. Wiksor z Faliszówki. K. Polak z Krakowa. M. Sroczyński ze Schodnicy. M. Maier z Wrocławia. R. Eckmécic, J. Remeszewski i M. Zubrzycki z Czortkowa. J. Wachal z Chorkówki. J. Teodorowicz z Russowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 30 listopada. (Giełda towarowa). Cukier 19·25 (spokojnie). Spirytus 43·20 (usta w górę).

Berlin 30 listopada. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·40. Spirytus 00·00.

Paryż 30 listopada. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·82. Mąka („Fleur de Paris") 28·25.

Wiedeń 30 listopada. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890	3%	293.—
„ „ „ „ z r. 1889	3%	000.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k.	4%	288.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł.	5%	281.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	268.00
Pożyczka serbska prem. po 100 frank.	2%	91.—

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.10. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 471.00, Clary 40 zł. m. k. 172.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 80.—, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfty 40 zł. m. k. 163.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 53.25, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.65, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 66.50, Salma 40.00 m. k. 232.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 79.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 250.00. Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. 143.50, Losy komunalne m. Wiednia z r. 1874 504.00.

Lwów 30 listopada. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 576.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 580·00 do 540·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 820 do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 8.30* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 6·30*
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

10)

Z życia kobiety.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

— Dzięki Bogu, pozbyłem się jej! — powiedział sobie w duchu z głębokiem zadowoleniem. — Oho, nie dam się złapać drugi raz!...

Takiem było to wspomnienie, które Simona wyobrażała sobie pełnem upojenia, o które była tak zazdrosna.

Jeżeli Mervil nie domyślał się potajemnej pracy, która zmieniała względem niego serce jego żony, był ktoś, co widział dokładnie, a tą osobą był Jan d'Espayrac.

Pewnego wieczora wszyscy troje rozmawiali w gabinecie kompozytora. Zjedli razem obiad, na którym oprócz Jana nie było nikogo, a nauczycielka Angielka zabrała już Paulinkę.

— Wiesz, Mervilu, że twoja córka z każdym dniem staje się piękniejsza — rzekł Jan, podnosząc się z krzesła, aby rzucić w ogień resztkę niedopalonego papierosa.

— Czy mówisz to na seryo? — odpowiedział Roger. — Dla mnie jest ona zawsze małym urwisem. Nie zwracam więcej uwagi na jej twarzyczkę, niż na twarz chłopca. Ale w istocie zdaje mi się, że nie będzie brzydka. Ma ładne oczy.

— O! nietylko oczy — podchwycił Jan. — Rysy twarzy są regularne i pociągające, a przytem będzie miała wdzięk i życie. Jestem pewny, że będą za nią szaleć.

— Cóż z tego — odezwała się z westchnieniem Simona — to jej nie ocali od cierpienia; musi cierpieć, jak inne, biedna moja pieszczotka!

— Cierpieć?... A dlaczego? Z jakiego powodu? — zapytał Mervil tonem gniewnego zadziwienia.

Pana d'Espayrac nie zdziwił wykrzyknik Simony, gdyż był on objawem usposobienia duszy, którego domyślał się od pewnego czasu. Ale chciał doznać przyjemności wyciągnięcia trochę na słówka pani Mervil, ażeby się przekonać napewno o owem usposobieniu duszy, które napełniało go sympatyą i nieokreśloną nadzieją. Zaczął więc dowodzić, że mężczyźni daleko bardziej cierpią z powodu kobiet, niż kobiety z powodu mężczyzn.

I zawiązała się na ten temat jedna z tych rozpraw, które nie mają nigdy końca, a bawią umysł i drażnią serce, i podczas których, pod osłoną zdań lekkich i żartobliwych, domyślać się można walki wrzącej w głębi duszy, gdy przychodzi do rozprawy pomiędzy kobietami i mężczyznami.

— Jakto? — odpowiedziała Simona — wszak mężczyźni przyznają sobie prawo zdradzania nas i jeszcze nieraz mówią nam to otwarcie, a w każdym razie nie kryją się z tem, że kochali wiele razy, zanim się ożenili. I jakim sposobem możesz pan twierdzić, że cierpią przez nas?

A po chwili dodała cierpko:

— Być może, że istoty, które bez wyboru darzą swymi względami, niewiele są warte; ale nie żałuję ich za to, mają to, na co zasługują. A zresztą nie warto mówić o nich. To nie są kobiety.

— A czemżeż one są? — zapytał Roger.

Simona zmierzyła go wzrokiem w milczeniu.

— Jeżeli to nie są kobiety — podjął znowu Mervil — dlaczego okazujecie się względem nich tak szalenie zazdrosnemi?

— Zazdrosnemi?... O nie, cóż znowu? My tylko pogardzamy mężczyznami, którzy porzucają nas i pozwalają tamtym wystawiać się na pośmiewisko.

— O! Simona jest w złym humorze — zaczął żartować Mervil. — Mój biedny Janie, usłyszymy pewnie niejedno jeszcze przykre słówko.

— Ty, być może — rzekł Jan — ale co do mnie, nie zaliczam się przecież do kategoryi zdradzających. Zgadzam się najzupełniej ze zdaniem pani Mervil. Ja nie cenię nic takiego, do czego każdy równie jak ja może mieć prawa.

— Brawo, panie d'Espayrac! — rzekła Simona ze ślicznym uśmiechem.

— Nie wiedziałem, że jesteś taki złośliwy! — zawołał Mervil. — Udało ci się wyśmienicie, umiesz udawać!

— Ależ nie, daję słowo! Mówię tylko to, co myślę.

Nachylił się do ucha kompozytora i rzekł półgłosem, lecz tak, że pani Mervil mogła go słyszeć:

— Nie cierpię żadnego podziału i nigdy, za nic w świecie nie chciałbym pić z kieliszka, z którego piliby wszyscy...

Simona zrozumiała dokładnie znaczenie tych słów, wypowiedzianych zaledwie przyciszonym głosem. Zresztą Roger z Janem nie krępowali się tak bardzo jej obecnością i ona nie gniewała się o to. Tylko jeżeli przedmiot rozmowy stawał się drażliwym, Simona nie odzywała się wtedy.

I teraz więc milczała, spoglądając na Jana. Sprawiało jej to wielką przyjemność, że słyszy go wygłaszającego zdania pełne delikatności, jakie się tak rzadko spotyka w ustach dwudziestokilkoletniego młodzieńca. Wierzyła, że mówił szczerze, i tak było w istocie, mianowicie w tej chwili; niekiedy bowiem człowiek mniema, że jest tem, czem być pragnie. A Jan d'Espayrac w obecności Simony podlegał zawsze uczuciom jak najszlachetniejszym, do jakich tylko mógł być zdolny.

Mervil, który tego wieczora nie miał żadnego powodu udawania ani przed sobą, ani przed żoną, przedstawiał się mniej korzystnie w swojej prostocie, zaprawnej lekkim cynizmem; oprócz tego nie mógł się oprzeć chęci posprzeczania się trochę z Simoną. Od kilku dni był w usposobieniu zaczepnem, gdyż czuł z jej strony nieprzyjazne usposobienie. Zaczął więc wygłaszać teorye, o których wiedział, że ją do rozpaczy doprowadzają.

— Co do mnie, twierdzę stanowczo, że zdrada mężczyzny nie może być porównywana ze zdradą kobiety ani w zasadzie, ani w jej następstwach. Mąż może uwielbiać swoją żonę, a pomimo to zapomnieć się niekiedy i zadowolnić swój kaprys. Kobieta zaś, jeżeli zbłądzi, to wtedy gdy kocha, albo przynajmniej gdy przekona się potem, że kochała. Ażeby znaleźć dla siebie wymówkę, stwarza sobie namiętność. Ale jakie z tego mogą być następstwa?

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć — z żywością podchwyciła Simona, — i w jaki sposób chcesz potępić kobiety. Ale czyż zdrada męża nie pociąga także za sobą złych następstw? Czy ona nie może rozczarować kobiety, doprowadzić jej do rozpaczy, zachęcić do odwetu i stać się dla niej zarodkiem cierpienia, a może i zepsucia?...

Mervil rozśmiał się szyderczo.

— Moja kochana — rzekł, — jeśli żona mści się, znieważając swój honor, to w mojem przekonaniu dlatego tylko nie uczyniła tego pierwej, że nie miała jeszcze na to czasu, ani sposobności. Kobiety są istotami niższego rzędu, które idą za popędem swoich skłonności, nie poddają się wpływom rozumowania, ani okoliczności. Jeżeli skłonności ich są dobre, wtedy kochają nas i godzą się z tem, czemu nie zdołają zapobiedz. W przeciwnym razie oszukują nas nawet bez żadnego powodu, a czynią to najczęściej wtedy, gdy są pewne przywiązania z naszej strony. Nie zyskalibyśmy więc nic na tem, choćbyśmy byli dla nich wiernymi.

— Czy pan słyszy te dowodzenia, panie d'Espayrac? — zapytała Simona.

Dźwięk głosu młodej kobiety byłby zwrócił uwagę męża mniej ufającego i mniej niezręcznego, niż Roger Mervil. Ale Mervil, jak wielu innych, a niemal prawie wszyscy, mniemał że towarzyszka jego życia jest istotą przez niego wykształconą i że on zna tak doskonale wszystkie tajniki jej duszy, że już nie potrzebuje zastanawiać się nad dźwiękiem jej głosu, lub wyrazem twarzy. Roger nie widział zatem, iż pobladły nawet jej usta, i nie spostrzegł, że żartobliwa ironia brzmiała fałszywym dźwiękiem w jej głosie.

Jan d'Espayrac był bardziej bystrym spostrzegaczem, gdyż miał do tego rozmaite powody, odczuł też doskonale nerwowe rozdrażnienie Simony. Zrozumiał gniew, nad którym starała się zapanować ta piękna kobieta, wydająca się dotychczas raczej chłodną i obojętną, niż tkliwą i czułą. I nagle w duszy Jana, zamiast sentymentalnego pociągu, zbudziła się gorączka namiętności.

A więc ta delikatna, jasnowłosa Paryżanka, ten kawałek lodu, jak ją nazywały złośliwe języki, mogła się także ożywić i drgać tajonem uczuciem? Czy ona rzeczywiście dziś inną się wydała niż zwykle, czy też on czuł w sercu jakieś niespodziewane wrażenie?

— Jestem szalony! — powiedział sobie w duchu.

I nieme wyznanie musiało się odmalować w jego spojrzeniu, gdyż Simona, blada przed chwilą, oblała się gorącą łuną rumieńca, podczas gdy pan d'Espayrac odpowiedział z prostotą:

— Niechaj pani nie wierzy mężowi. Jestem pewny, że nie myśli tego, co mówi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza